MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 16. WARSZAWA, 21 KWIETNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

O NOWĄ ŚWIADOMOŚĆ DZIEJOWĄ

I

ŻYJEMY w okresie wszechstronnego rewizjonizmu. Wielkie trzęsienie ziemi, jakiem była — lubię to powtarzać — wielka wojna, wydobyło na powierzchnię wartości jedne, zakopało zaś doszczętnie inne, takie, co za wartości uchodziły wyłącznie w epoce poprzedzającej.

Rewizjonizm wspomniany krzewi się również i na polu nauki historjograficznej, tej jednej z nauk najżywotniejszych, gdyż związanych organicznie z rozwojem i dobrem narodów.

Świadkiem i wytwórcą tego rodzaju rewizjonizmu jest dzisiejsza Francja, w „pokładach" swoich republikańsko-wolnomularskich, niezmiernie odległa od sposobu myślenia, którego wyznawcami jesteśmy na szpaltach niniejszego czasopisma. Nie o tę Francję nam jednak chodzi: istnieje, Bogu dzięki, inna jeszcze, „najstarsza córka Kościoła", Francja, wielbiąca poczet swoich królów, co w tysiącletniej pracy dziejowej wytworzyli jej wspaniałość, Francja Joanny d'Arc, nie zaś Stawiskiego.

II

Champion, Bertrand, Gaxotte, de la Gorce, Bainville — oto kilka imion, *magna nomina historiographiae*, które w ostatnich latach zajaśniały restauracją glorji monarchicznej Kapetyngów i Bourbonów. Pierwszy z nich — to „bronzownik" Ludwika XI, owego króla-ducha Francji średniowiecznej, co nie mógł podobać się romantykom, jak im napewno Batory mniej podobał się od Jadwigi, czy też — w zupełnie innej kondygnacji — Wielopolski od Mierosławskiego.

Akademik Bertrand nie potrzebuje „bronzować" swojego Ludwika XIV, tak, jak kolega jego, hr. de Saint-Aulaire (nawiasem mówiąc, pierwszy niedoszły ambasador w Warszawie), nie potrzebował „bronzować" kardynała de Richelieu. Inaczej — Gaxotte i de la Gorce. Trzeba było dużego talentu — mam tu na myśli pierwszego z nich, — iżby po analizie Nolhaca i Carrégo, znaleźć jeszcze tyle okoliczności łagodzących dla *spleen*'owatego amanta pani du Barry i pani Pompadour. A i znakomity de la Gorce pokazał sztukę nielada, „bronzując" bez śladu „faktury" otyłą postać przedostatniego Bourbona na tronie francuskim („*Louis XVIII*"), który po dziadku — Auguście III, odziedziczył zaiste materję cielesną, po pradziadzie zaś, Leszczyńskim, filozoficznego ducha.

III

Ten rewizjonizm francuski, który dotąd doszedł do swojego szczytu w „*Histoire de France*" Bainville'a, ma swój paragon za Alpami, paragon wątlejszy cokolwiek, w zabiegach szkoły faszystowskiej, która — od lat bodaj trzynastu — stara się „wybronzować" *Risorgimento.* Naprzekór mazziniańskim brodom oraz garibaldjańskim koszulom, które na milę zalatują masońćstwem, znoi się faszysta boloński, profesor Aleksander Luzio, ażeby

wykazać, iż pomiędzy masonerją a *Risorgimento* nie było właściwie żadnego konkubinatu. Podobno młodzi faszyści rzymscy wypisali na janikulskim pomniku Garibaldi'ego, jak to udało im się wypłoszyć z Rzymu masonerję zapomocą karabinu i książki: płoszy ją tedy bezwzględnie i nasz rewizjonista włoski z dziejów Italji i z przybytków miejscowego Biura historycznego, niepomny, że pentagram masoński, a bodaj i barwy „Wielkiej Loży" zdobią po dziś dzień gmachy włoskie w dni uroczystości narodowych.

IV

Na Północy, w „Hitlerji", także krzewi się swoisty rewizjonizm. Na razie (ewolucja ma wszakże tylko dwa lata za sobą) spotykamy tam dwu zaledwie „Anti-Ludwig"'ów. Jednym z nich jest — pan Edgar von Schmidt-Pauli, „bronzownik Wilhelma" i — jako taki — zasłużony dla idei monarchicznej niemieckiej, skoro słynny „*Wilhelm der Zweite*" był chyba najlepszem dziełem wspomnianego Ludwiga. Drugim „antiludwigowcem" jest Joachim von Kürenberg, autor znanej trylogji patrjotycznej pruskiej („*Danckelmann*", „*Lucchesini*", „*Holstein*"), z której jednak tylko dwa poślednie człony — zresztą w niezwykle zajmujący sposób — zostały dotychczas wykonane.

V

A u nas?

Rozróżnić sobie pozwolę w „magmie" myślowej polskiej, która, jak wszędzie, tak i u nas, narasta po wojnie ze składników zarówno naukowych jak i publicystycznych, dwie formacje — w przybliżeniu — historjozoficzne.

Jedną jest — że tak powiem — szkoła Dmowskiego, z której wywodzimy się wszyscy, zarówno niedobitki szkoły krakowskiej, jak i epigoni „wielkiej trójcy" narodowo-demokratycznej, wszyscy ci, co za kulisami życia europejskiego, życia narodowego, w okresie zwłaszcza ostatnich lat dwustu, doszukują się przemożnych machinacyj tajnych, a wrogich mocy[1]). Kładł już rękę na chorym tym pulsie niegdyś Kalinka, przestrzegał Klaczko przed konspiracją jako „granatem (z reguły) pękającym we własnych szeregach"; przyszedł potem Dmowski i z autorytetem realisty i statysty pokazał palcem na jątrzącą się ranę, na wstydliwą chorobę, toczącą europejski organizm. Czy nie mieliśmy się my, młodsi, zapalić do nauk takiego nauczyciela, my młodsi, co na własnej skórze nosimy cięgi i pręgi ostatnich lat dwudziestu?

Druga szkoła — jeśli wolno tak powiedzieć — „odbronzowników" nosiła na sobie piętno również publicystyczne (albo to i starzy „Stańczycy" nie byli przedewszystkiem świetnymi publicystami?). Z ducha żydowskiego poczęta — patronował jej „Boy"-Żeleński—, z ducha wieczystego przeczenia, właściwego tej rasie, skłonna była obdzierać z laurów wszelakie nasze wielkości: z Millerem czy Brandstaetterem dobierała się do Mickiewicza, z Górką i duchową jego progeniturą — do Sienkiewicza. Ksawera Deybel zasłaniała jej ogrom „Pana Tadeusza", pani Delfina przekreślała splendor „Irydjona", na „arce przymierza" przyklejali rewizjoniści tego typu plotkę z Nalewek.

VI

Śpieszno mi już do — jeżeli nie zbilansowania wysiłków szkoły, do której przynależę, ponieważ to byłoby przedwczesne— to przynajmniej, co pilniejsza, wykazania niedoborów czy zatorów, które hamują czy tamują pomyślny w szybszem tempie rozwój danej szkoły.

Niemasz przedewszystkiem jedności w naszych szeregach. Liczni słuchacze moich niezliczonych wykładów na temat masonerji są dobrze świadomi, jak ja się zapatruję na genezę tej instytucji. A oto, co znajduję, wbrew wszelkim moim tezom i dokumentom, w rozprawie tak poważnego pisarza katolickiego, jakim jest Ojciec Jan Urban:

a) że „między straszaki i przesądy należy włożyć mniemanie, jakoby masoni posiadali jakiś jeden plan polityczny" i

b) że „byłoby przesadą utrzymywać, że masonerję wymyślili Żydzi, że Żydzi ją opanowali zupełnie i każą się jej wysługiwać jakimś specjalnie żydowskim celom" [2]).

Czyż dziwić się wobec tego należy temu nieubłaganemu „biernemu oporowi", z jakim spotykałem się dotąd u znacznego odłamu duchowieństwa w b. Galicji na każdym kroku mojej propagandy antymasońskiej?

VII

Veritas liberabit vos! Wyzwoli nas z matni przesądów i niedopatrzeń zmierzchającego wieku liberalnego jedynie wielka tradycja historjograficzna w duchu katolickim, nawiązująca do Görres'ów i Pastor'ów, Grisar'ów, Schnüner'ów i Denifle'ów, Montalembert'ów i Ozanam'ów, Broglie'ów i Crétineau-Joly'ch, Cochin'ów i Belloc'ów, u nas zaś niezapomniana tradycja Kalinki.

Warunkiem ponownego nawiązania tej tradycji jest odwaga prawdy, innym warunkiem — w zastosowaniu zwłaszcza do takiego tematu, jak stowarzyszenia tajne — bystrość intuicji, bo — jak pięknie powiedział jeden z historyków niemieckich—„erudycja, to martwy stos drew i podpałek, intuicja, to ogień, który go zapala". Im silniejszy ten ogień w duszy historyka, tem jaśniejsze zdoła rzucić światło na przeszłość dziejową, na losy i twórczość dawnych pokoleń i narodów.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

---

[1]) Świadomie pomijam tutaj optymistyczną szkołę historyczną, równoważącą niektóre przesady „cierpiętników" krakowskich (należą do niej, jak wiadomo, Sobieski, Halecki, Siemieński i t. d.).

[2]) „Przegląd Powszechny", lipiec 1925.

WACŁAW SOBIESKI

DNIA 3 kwietnia b. r. zmarł nagle w Krakowie, w prawdziwie tragicznych okolicznościach, jeden z najznakomitszych historyków doby obecnej, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ś. p. Wacław Sobieski. Wiadomość o tej niespodziewanej i niepowetowanej stracie wstrząsnęła do żywego nietylko gronem Jego bliskich i znajomych, uczniów i historyków, ale także całym światem inteligencji polskiej, której rozwój narodowej kultury leży na sercu. Był bowiem prof. Sobieski historykiem wysokiej miary, umysłem nawskroś oryginalnym i samodzielnym, talentem samorodnym, który szerokością swych zainteresowań i zdolnością ujmowania zagadnień naukowych budził podziw nietylko w kraju, ale i w międzynarodowej społeczności historycznej. Prace, które pozostawił, weszły do trwałego dorobku naszej historjografji, a co ważniejsza, nie należały do rzędu tych, których poza specjalistami nikt nie czyta, ale przeciwnie, dzięki zaletom treści i formy, docierały do najszerszych kół społeczeństwa, ucząc je czerpać z naszej przeszłości wiarę w żywotne siły i wielkie możliwości rozwojowe narodu polskiego. Ostatnio nazwisko prof. Sobieskiego stało się głośne w związku z bolesną sprawą pozbawienia Go katedry uniwersyteckiej. Tem więcej będzie rzeczą właściwą przypomnieć — w chwili śmierci — koleje Jego losów i wskazać, czem był w rozwoju naszej nauki i życiu naszego narodu ten szczery historyk i prawy obywatel.

Urodzony 26 października 1872 r. we Lwowie, spędził tam lata dziecinne w domu ojca Stanisława, wybitnego pedagoga i autora prac z dziedziny wychowania. Dziesięcioletniego chłopca rzuciły losy wraz z rodzicami do Warszawy, gdzie, jak sam nieraz opowiadał, niezapomniane na Nim wrażenie wywarła rewizja policyjna w Jego mieszkaniu. Pobudziła ona do tego stopnia jego wyobraźnię, że już wówczas rzucił się do napisania wysnutych z dziecinnej fantazji dziejów Polski. Można powiedzieć, że był to pierwszy sygnał rodzącego się talentu historycznego i gorącego uczucia patrjotycznego, które tak wszechwładnie miało przeniknąć całe życie prof. Sobieskiego.

Ukończywszy szkoły średnie w Rzeszowie, po stracie ojca, wśród ciężkich warunków materjalnych zapisał się na Uniwersytet Jagielloński. Zamiłowania skierowały Go odrazu ku studjom historycznym, tak wspaniale rozwijającym się wówczas w murach wszechnicy krakowskiej, pod przewodem t. zw. szkoły krakowskiej. Młody Sobieski od pierwszych dni swego życia uniwersyteckiego stanął wszelako w opozycji do poglądów przez nią głoszonych. Optymizm, który stanowił nieodłączną i bodaj najznamienniejszą cechę Jego psychiki, żywa wiara w siły twórcze narodu polskiego, nie godziły się z pesymistycznym, niemal fatalistycznym poglądem na dzieje Polski, wyznawanym przez „Stańczyków". Jako szczery demokrata i republikanin przywarł na ławie uniwersyteckiej do młodzieży demokratycznej, organizując m. in. manifestacyjnie akademję ku czci Lelewela, w chwili, gdy uniwersytet czcił zasługi współtwórcy „szkoły krakowskiej", J. Szujskiego. Nauki pobierał Sobieski u znakomitego znawcy reformacji i „złotego wieku" Wincentego Zakrzewskiego i u Stanisława Smólki. Najlepszym mistrzem było mu też miasto Kraków. Sam często wspominał, ile podniet naukowych czerpał z jego murów i zabytków, jakim magnesem był dlań Wawel, który w bujnej, niemal malarskiej wyobraźni Sobieskiego ożywiał się tysiącem barwnych scen historycznych z czasów wielkich dni chwały Rzplitej. W. Zakrzewskiemu zawdzięczał Sobieski metodyczne i jaknajbardziej fachowe wprowadzenie w problemy odrodzenia i reformacji. Pod jego światłym wpływem epoka Zygmuntów i Batorego stała się też głównem polem zainteresowań i znakomitych prac Sobieskiego. Jemu zawdzięczał również znajomość i zrozumienie dla badań nad dziejami naszej kultury, nad historją prądów umysłowych, bujnie kiełkujących w wieku Reja, Kochanowskiego, Skargi i Zamoyskiego. Że zaś „Wiek Złoty" był okresem wspaniałego rozwoju politycznego, artystycznego i umysłowego dawnej Rzplitej, okresem, mimo niektórych oznak poczynającego się rozkładu, jasnym i pogodnym, tedy ożywczy powiew renesansu, pod którego tchnieniem rozkwitła nasza kultura staropolska, spłynął także na badaczy tych czasów. Stąd zaczerpnął sił i umocnił się zdrowy polski optymizm, który charakteryzuje wszystkie bez wyjątku dzieła Sobieskiego, optymizm, który mu pozwolił nietylko wyzwolić się z pod suggestyj szkoły krakowskiej, ale dał mu możność budzenia wiary we własne siły narodowe w okresie, kiedy naród rzeczywiście tej otuchy ze strony historji potrzebował.

Ukończywszy studja w Krakowie pogłębił je Sobieski zagranicą, w Lipsku, u Karola Lamprechta, który wywarł na niego wpływ silny, choć przejściowy i pozwolił mu nawiązać ścisły kontakt z prądami, przenikającemi naukę historji na zachodzie Europy. Powróciwszy do kraju dał się poznać pierwszą większą pracą: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za Zygmunta III" (1902), w której wystąpił jako pierwszorzędny znawca stosunków kulturalnych i politycznych w epoce kontrreformacji. Praca ta, do dziś bardzo cenna, a, w chwili ukazania się, wartości pierwszorzędnej, odrazu postawiła Sobieskiego w rzędzie czołowych historyków. Odznaczała się nietylko wnikliwą treścią, znajomością psychologji zbiorowej, ale odkrywała pierwszorzędnego pisarza i stylistę. Usilna praca nad stylem, lektura, a nawet opanowanie pamięciowe całych utworów umiłowanych pisarzy, a przedewszystkiem Słowackiego, Kochanowskiego, Reja i Zamoyskiego, uczyniły, przy wrodzonych zdolnościach, z Sobieskiego jednego z najwybitniejszych stylistów współczesnej Polski. Dzieła jego, pisane barwnie, plastycznie, rzec można po malarsku, pełne dramatyzmu, o języku bogatym, wedle potrzeby archaizowanym, przytem prostym i łatwo zrozumiałym, dzięki tym zaletom stanowiły prawdziwe cacka artystyczne, nie zalegające tylko półek księgarskich, ale naprawdę czytane i rozchwytywane. Uderza przytem zdolność oddania środkami językowemi nastrojów właściwych opisywanym wypadkom. Miarą zasłużonej poczytności Jego dzieł jest całkowite wyczerpanie wielu z nich i zaczytywanie istniejących egzemplarzy po bibljotekach publicznych („Nienawiść wyznaniowa", „Studja historyczne", „Walka o Pomorze" i in.).

W czasie studjów nad epoką Zygmunta III zajął się Sobieski postacią jedną z najwybitniejszych dawnej Polski, duchem wielkim i politykiem znakomitym, Janem Zamoyskim. Zaproszony przez Maurycego hr. Zamoyskiego do wydania korespondencji „wielkiego kanclerza", osiadł w Warszawie i tu przez szereg lat w Bibljotece Zamoyskich zbierał materjały do tego ważnego wydawnictwa. W poszukiwaniu za listami Zamoyskiego odbył podróże do Paryża, Londynu, Moskwy i Sztokholmu, by przywieźć bogaty plon pracy, który posłuży nietylko jemu samemu, ale rzuci trwałe podwaliny dla wydawców tomów następnych. W r. 1904 ukazał się znakomicie, wedle ostatnich wymagań nauki opracowany przez prof. Sobieskiego tom I „Archiwum Jana Zamoyskiego", po którym posypały się pierwszorzędne rozprawy, oświetlające postać „trybuna ludu szlacheckiego" („Szkice historyczne" 1904, „Trybun Ludu" 1905 i w. in.). Ciekawe i bardzo ważkie dla obu pisarzy było wtedy spotkanie i koleżeństwo Sobieskiego z Żeromskim, wówczas urzędnikiem Bibljoteki Zamoyskich. Idąc za radą Sobieskiego, wielki powieściopisarz przygotowywał się na Biblji Brzeskiej i korespondencji Zamoyskiego do skreślenia „Dumy o Hetmanie".

Za pobytu w Warszawie, czynny i ruchliwy, wykładał Sobieski na tajnych kursach historję, a ponadto należał do założycieli „Przeglądu Historycznego".

Prace nad Zamoyskim otwarły Sobieskiemu drogę do katedry. Habilitowany w Krakowie w r. 1908, został w tymże roku mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w r. 1910 zwyczajnym historji powszechnej. W tym okresie działalności ogłosił rozprawę: „Henryk IV wobec Polski i Szwecji" (1907), pracę podstawową dla stosunków Francji z Polską i Szwecją w początkach XVII wieku, „Polska a Hugenoci po nocy św. Bartłomieja" (1910), w której mistrzowsko odkrył związki polityczne i kulturalne między Francją a Polską w dobie pierwszej elekcji pojagiellońskiej. W obu tych pracach, znanych i powoływanych w najnowszej literaturze naukowej francuskiej, wykazał doskonałe opanowanie materjałów polskich i francuskich, oryginalność myśli, a przedewszystkiem trafne związanie spraw Polski z szerokiem podłożem powszechno-dziejowem.

Tuż przed wojną posunął Sobieski swe badania na okres chronologicznie następny, to znaczy na czasy Samozwańców i rokoszu Zebrzydowskiego. Z tego czasu pozostawił rozprawy: „Starania Dymitra Samozwańca o koronę polską" (1909), „Studja historyczne" (1912), „Pamiętny Sejm" (1913), a wreszcie wydane już po wojnie dzieło „Żółkiewski na Kremlu" (1920). Wszystkie one odznaczały się szeroką podstawą źródłową, a przedewszystkiem tryskały talentem, który z łatwością przełamywał trudności, jakie nastręczają skomplikowane problemy epoki rokoszowej.

Wojna światowa wprzęgnęła Sobieskiego w rydwan obowiązków służby obywatelskiej. W związku z nasuwającemi się problemami aktualnemi, ogłaszał studja z przeszłości, w których ten, kto chciał i umiał czytać, znajdował wskazania na chwilę obecną. Pisał już o Kościuszce, Pułaskim, Bismarcku, a ponadto szereg artykułów dziennikarskich. Będąc członkiem tajnej Ligi Narodowej, stanął w szeregach zwolenników Ententy, a gdy rozpoczęły się prace nad Traktatem Wersalskim, wyjechał do Paryża, aby oddać swą wiedzę na usługi delegacji polskiej.

Rozpiętość zainteresowań, której znamieniem była rozprawka o Bolesławie Chrobrym (1925), a zarazem studja z XIX wieku, wielka zdolność syntezy, wykład jasny i pociągający, predestynowały Sobieskiego do poświęcenia się pracom syntetycznym, któreby obejmowały większe partje naszych dziejów. Nie poprzestał więc na opracowaniu historji Henryka Walezego, Batorego i Zygmunta III w „Encyklopedji Akademji Umiejętności" (1923), gdzie dał najlepszą do tej pory syntezę tego okresu, ale opowiedział ponadto dzieje Polski w latach 1572 — 1733, przeznaczone dla inteligencji w wydawnictwie „Polska, jej dzieje i kultura". Wreszcie na użytek szerszych sfer napisał trzytomowe „Dzieje Polski" (1923 — 25), a nadto popularne „Dzieje Polskie" (1930), tłumaczone ostatnio na język francuski („*Histoire de Pologne*" 1934). Mimo popularnego charakteru tych wydawnictw, starał się w nich ująć historję Polski z nowego punktu widzenia. Szczególnie w trzytomowych „Dziejach" po raz pierwszy przedstawił naszą historję ze stanowiska rozwoju żywotnych sił narodu polskiego (stąd rozbiory nie stanowiły dlań daty granicznej), nie wahając się uwypuklić momentów dotąd chętnie pomijanych, jak np. roli żydów w naszej przeszłości.

Skoncentrowane ataki nauki i polityki niemieckiej na prawa nasze do ziem zachodnich, a przedewszystkiem Pomorza, zmobilizowały od lat dziesięciu czujny i patrjotyczny umysł prof. Sobieskiego. Uważał on za swój święty obowiązek dać samemu możliwie szybko i najlepiej ugruntowaną odpowiedź na ataki, godzące w stan naszego posiadania.

Z tej szczerej troski obywatelskiej zrodził się doniosły czyn historyczny prof. Sobieskiego, t. j. książka, naprzód wydana po polsku p. t. „Walka o Pomorze", a później po niemiecku, znacznie rozszerzona i oparta na bogatym materjale dowodowym p. t. „*Der Kampf um die Ostsee*", 1932. Książka ta, w wydaniu polskiem dziś wyczerpana, w Niemczech skonfiskowana i palona na stosie, zawiera niezbity historycznie wywód praw Polski do Pomorza, oświetla po raz pierwszy dzieje stosunku Pomorza do Polski na przestrzeni całej historji i obrazuje rozwój starań Polski o dostęp do morza. Dla Polaków była ona przypomnieniem, ostrzeżeniem i pobudką do obrony, dla Zachodu niefałszowanym dokumentem naszych praw do morza i Pomorza.

Wynikiem tych samych zainteresowań były dalej: rozprawa p. t. „Walka o programy rządzenia w Prusach Książęcych" 1931, liczne artykuły w „Morzu", „Kurjerze Poznańskim", a nawet zagranicznych (czeskich) czasopismach naukowych. Pragnąc pobudzić jaknajwiększy zastęp badaczy polskich do badań nad Pomorzem i polską polityką bałtycką, poruszał prof. Sobieski te zagadnienia na zjazdach historyków krajowych i międzynarodowych, a na zjeździe warszawskim w roku 1930 zorganizował wielką dyskusję nad stosunkiem ziem pruskich do Polski, w której wzięło udział kilkunastu starszych i młodszych historyków. Część przemówień, transmitowana przez radjo, wywołała wielkie zaniepokojenie nauki niemieckiej, jak świadczyły artykuły polemiczne w czasopismach fachowych pruskich. Do badań nad dziejami Pomorza zaprzągł również w ostatnich latach

prof. Sobieski nietylko swoich starszych uczniów, ale całe swoje seminarjum uniwersyteckie, na którem wykonano dziesiątki niepublikowanych dotąd studjów z tego zakresu.

Obraz działalności prof. Sobieskiego jako historyka nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli o jego działalności pedagogicznej. W ciągu 27-miu lat pracy profesorskiej wychował on liczny zastęp historyków, z których niejeden, jak prof. Halecki i Chodynicki, zdawna zajmują katedry uniwersyteckie, wielu czynnie pracuje naukowo, a całe setki rozeszły się do szkół średnich, archiwów i bibljotek, niosąc w życie cenne prawdy, zdobyte pod kierunkiem ukochanego profesora. Bo też był ś. p. prof. Sobieski lubiany jak nikt inny, za swą życzliwość, ojcowską opiekę, za swoje przezacne serce i zapobiegliwość o losy i przyszłość swoich wiernych uczniów.

Od kilku lat dotknięty ciężką chorobą, uległ jej na wiadomość o pozbawieniu go ukochanej katedry, z wysokości której lat tyle głosił prawdę i krzewił wiarę w siłę i moc narodu.

Niespodziana śmierć zastała Go przy biurku, gdy spisywał wspomnienia z ostatnich ciężkich miesięcy swego ofiarnego życia.

KAZIMIERZ LEPSZY

„SPOWODU HAOSU W ŻECZYPOSPOLITEJ”

Adolf Nowaczyński wygłosił w Poznaniu w dn. 22 marca r. b. konferencję pod tym żartobliwym tytułem. Podajemy poniżej łaskawie nam udzielony przez autora tekst tego interesującego odczytu. — RED.

LAT temu trzydzieści przeszło zostałem zaproszony na uroczyste posiedzenie i jakąś jubileuszową kolację pierwszego Związku czy Koła Esperantystów w Warszawie. Żył jeszcze i przewodniczył temu gronu doktór Zamenhof. Zaproszono mnie, aby do idei przekonać i pozyskać. Przy kolacji toasty, telegramy i deklamacje. Pamiętam, że apostoł adwokat Belmont deklamował esperanckie tłumaczenie ballady Mickiewiczowskiej o „Panu Twardowskim“:

„Sedas, pijas, lulkos palas
Danzas, ulakas, swawolas”.

Poczem zaczęto domagać się, abym i ja coś przemówił i zdeklarował się jako wróg albo przyjaciel. Wstałem i w dłuższym wywodzie zadeklarowałem moje wrogie uczucia wobec warszawskiego *volapück*'u, tłumacząc co i dlaczego. Nie było to takie łatwe wystąpić wtedy *contra*, jeżeli się zważy, że pierwsi esperantyści to byli fanatycy wprost nieprzytomni, mieli żarliwość i zapał podobny zdaje się do pierwszych neofitów z katakumb. Patrzyli więc na mnie z nietajoną całkiem nienawiścią szczególnie esperantki o krwi ludów wschodnich. Kiedy skończyłem, zapowiadając dalszą walkę, oczywiście cisza kłopotliwa, chrząkanie no i sytuacja bardzo trudna. Wtedy głos zabrał inżynier Grabowski, także tłumacz, zdaje się, całego „Pana Tadeusza”, człowiek niezwykłej łagodności i apostoł esperanta z gatunku perswazyjnych nie napastliwych — i, zwracając się do mnie, tak zaczął:

„Nie miejmy za złe panu N., że się do nas wrogo odnosi i zapowiada nam okpiwania. Jest w tem bowiem także i zawiść konkurencyjna. Przecież autor „*Skotopaskas Sowizdrzales*“ już ma swoje własne esperanto i takiem esperantem pisze”...

Huragan oklasków szyderczych pokrył słowa mówcy, poczem bracia i siostry w Esperancie już łagodniej zaczęli patrzeć na *heretikas* i *poganinos*.

Od tego czasu dużo czasu upłynęło w Wiśle i dużo niepotrzebnej wody zebrało się w różnych mózgach. Esperanto rozrosło się w wszechświatową potęgę a raczej we wszechświatowego fioła; W wielu miastach i miasteczkach kuli ziemskiej są ulice imienia Zamenhofa, bywa, że i popiersia i pomniki. Co czas jakiś w którejś stolicy odbywają się zjazdy, sztandary, muzyki grają, burmistrze przemawiają, bankiety na tysiąc sztuk, na których obok delegacji z Afganistanu siedzi delegacja z Abissynji... no a pan jak wygląda panie N.? Niech pan lepiej wcale nie wygląda przez okno i schowa się, kiedy idzie pochód przez ulice, a orkiestry grają ten sam hymn, który rozbrzmiewa i na Majorce, na Madagaskarze? Wróżył pan, że ten bajc będzie trwał trzy lata i rozejdzie się po gościach, a tu już trzydzieści lat, no i niby wcale, wcale. Nawet ich więcej jak wegetarjanów, więcej jak filatelistów, więcej jak Mormonów a tylko nieporównanemi mniej jeszcze od jednych! od Brydżystów.

Od tego czasu pozostała też u nas i zrodziła się moc nawet odmian i odgałęzień Esperanta. Są to przeważnie gwary techniczne, dialekty fachów i procederów. Powstało państwo nowoczesne, z niem cały aparat państwowy i do obsłużenia tego aparatu specjalne języki. Jest więc esperanto parlamentarne i drugie administracyjne, esperanto ministerjalne i esperanto samorządowe. Zaistniały podgatunki językowe, gwary marynarzy, żargon narciarzy i bełkot karciarzy. Obok dzielnicowych języków np. łowickiego jest język łowiecki, myśliwski nowoupieczonych Nemrodów czyli niedzielnych pukawek. Jest gwara euferma czyli język starej ale jarej Brygady i Brygadierów i jest żargon legjonu młodych i dzielnych bryg antów. Jest całkiem specjalny kauderwelsz Lodzermenszów czyli ludzi z Łodzi i jest oryginalna złodziejska gwara, którą pisze swe powieści najmodniejszy dziś autor warszawski, Urke Nachalnik. Jest język dzielnego szczepu Kajakowców czy Kajakowatych i jest Majakowatych czyli majakowszczyzna poetów futurystów. Elektrotechnicy mówią po swojemu, a Filmowaci znów po swojemu, kiniarze z trudem rozumieją koniarzy, żokejów, bockmacherów, właścicieli stajni Augiaszowych. Pekaoni mówią, ze sobą po pekaońsku, Yps po ypsiemu, sekwekastraty po komorniczemu, recydywiści jeszcze gorzej, inaczej. Nafciarz z Borysławia trudno czasem zrozumie co mówi n a r c i a r z z p o d B a b i e j G ó r y podczas gdy Baba kumoterka trudno się orjentuje w tem, co mówi do niej Baba Bamberka. Każdy fach, każdy proceder, każda dykasterja z prokuratorami i z włamywaczami włącznie ma swój rodzaj esperanta czasem wprost niezrozumiały dla innej dykasterji. Kiedy dysputuje trzech chirurgów nad zewłokiem świeżo zo-

perowanego pacjenta, który szczęśliwie zasnął w Panu, nic a nic z tego nie zrozumiesz choć pozornie mówią po naszemu, jak znowu mało co skapujesz, asystując przy sesji rady nadzorczej Towarzystwo Pol-Krach. Wiele do urozmaicenia tego rozesperantowania polszczyzny przyczyniły się oczywiście i te takie skróty, jak np. Pepege, P.O.W. B.B.W.R., Sim, Sem, Cham, Włast, B.G.K., P.K.O., ale i bez tych skrótów dłużej tego wytrzymać nie będzie można. W każdym jednak razie, gdyby się teraz gdzieś coś obudził z letargu człowiek, który zasnął lat temu naprzykład dwadzieścia i gdyby go świeżo obudzonego i wykąpanego posadzić przed radjem przy audycji z meczu piłkarskiego drużyny „Hamadryas" z Będzina z drużyną „Pochronie" z Gorylowa (pod Leżajskiem), to ten letargik, choć tam i po polsku breszą, nie rozumiałby literalnie ani słówka, a po dziesięciu minutach jednak dostałby porażenia mózgowego i z powrotem wpadł w letarg.

Stawia się tu tedy hypotezę, że przez ostatnich lat piętnaście mowa polska wzbogaciła się o 150% więcej słów jak przez poprzednich lat 150 względnie nawet 1.500. I gdyby wśród nas pojawili się pewnego dnia i Rey z Nagłowic i Jan z Czarnolasu, słuchaliby nas pilnie może całą dobę, wysilali się na zrozumienie, dokładali wszelkich starań, aby wiedzieć naprzykład o co chodziło premjerowi Kozłowskiemu, ale wreszcie daliby za wygraną, machnęli ręką i wrócili z powrotem jeden do Nagłowic, drugi do Czarnego Lasu.

Na czoło wszystkich tych nowych experantów wybija się rzecz prosta i jak to być powinno język urzędowy. Ten wzbogacił się jaknajbardziej, i najszerzej i najfortunniej. Tym esperanto *cancellario* posługuje się cała zjednoczona Elita oraz wyższe dziesięć tysięcy doboru doborowych oraz tak zwani *posessionati bene nati*, to jest ludzie urodzeni w maju, a więc *majores*, niekiedy *minorum gentium*, ale zawsze coś i ktoś.

Jak istnieją tak zwane kwiatki Świętego Franciszka, tak dużo u nas teraz rozkwita *Fioretti di San Biurocracio*, w gwarze ludowej zwane matołki-wesołki. Są już tacy amatorzy koleksjoniści, którzy zbierają po grzędach to biuro—i piórokwiecie urzędowej prozy i pakują je w zielniki jako kapitalne okazy tak zwanej z lekarska *partielle Gehirnvestopfung* czyli częściowego zatwardzenia mózgu. Obawy żeby to kwiecie cudnej gwary urzędowej kiedyś gdzieś się zatraciło, obawy takie są całkowicie płonne. Szczęśliwym trafem bowiem zaistniał dwa lata temu okólnik oficjalny względnie oficerski M. S. W., rozesłany w miljonach egzemplarzy do miljona urzędów, który, zapobiegając zgóry ewentualnemu zniszczeniu czy zagubie kwiatów świętego Biurokraca, dysponował dosłownie co następuje:

„Urzędnik recypient obliguje się dokumenty widymowane resortu, przy którym funguje, zawsze inskrybować chronologicznie i wraz z aneksami i adnotacjami prezentować adjustorowi szefa dla wyekspedjowania tego widymatu. Relatywy koncypowane do aktu *à prima nota* należy integralizować we wspólnej obwolucie lub koszulce wraz z notą kartoteki".

To jest brzmienie dosłowne. Jeżeli teraz ktoś ośmieli się wyrazić wątpliwość co do autentyczności tego okólnika i będzie chciał udowodnić, że to apokryf, to ten, który nam udowodni, że takiego okólnika nie było, będzie miał wypłaconone w gotówce tysiąc złotych.

Na zapytanie, czy to już są rekordy urzędowego esperanta muszę odpowiedzieć: niestety chwała Bogu jeszcze nie. Są kwiatki świeższe i wonniejsze, może już nie tyle esperantyzmu ile wogóle stylu i szyku oficjalnej prozy.

Okólnik katowickiej dyrekcji kolei państwowych, sygnowany nazwiskiem Marciszewski, okólnik nr. 21 z 9 sierpnia 1934, pozycja nr. 40 (*sic*) brzmi następująco:

Instytut Propagandy Państwo-twórczej w uczczeniu ohydnego skrytobójczego zabójstwa świetlanej pamięci i t.p. wydał książkę... zawierającą treściwy życiorys Zmarłego, opis zbrodni... i t. p. Cena egzemplarza 2 złote i może być spłacana po 20 groszy miesięcznie. Zamówienia kierować do Instytutu Propagandy Państwo-Twórczej w Warszawie". Podpisano Marciszewski.

Słowo twórczej nie pochodzi tu od Tworek czyli wielkiego i znanego zakładu — pod Warszawą ale od tworzyć, wytwarzać, tworzywo, twórczość... „W uczczeniu ohydnego skrytobójstwa"... 20 groszy miesięcznie.

W uczczeniu podobnego języka wyjdzie pono już z wiosną gruba księga-zielnik z kilkuset zasuszonemi kwiatkami prozy świętego Biurokracego, którego kolebka stała w uroczym kraju Lodomerry, jak to zresztą zaraz poznać po relatywach i recypientach, aneksach i adjustach, obwolutach, no i koszulkach będących w tem wszystkiem motywem sielsko-sielankowym i idyllicznym.

Jak bogatą jest i obfitą radosna wytfurczość w tej dziedzinie, to dość powiedzieć, że z ostatniego tygodnia, z ostatnich dni udało się zerwać na grzędzie takie dwie niezapominajki.

W oficjalnym organie jednego z prowincjonalnych maharadżów czytało się w tych dniach apostrofę na pierwszej stronie:

„Zawiadamiamy wszystkie P. T. Firmy, że Administracja przyjmuje już ogłoszenia do specjalnego numeru z okazji imienin Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, który ukaże się w dniu 19 marca.. w zwiększonej znacznie objętości, w bardzo dużym nakładzie, bogato illustrowany".

W tymże samym paszaliku naczelnik gminy w Lipinach, osoba Tomanek, nie Tumanek, Tomanek, rozesłał po swoim powiecie następujące zawiadomienie:

„W celu omówienia i ustalenia programu obchodu imienin i. t. p. i t. d. zapraszam drugostronnie naprowadzonych P. T. przedstawicieli miejscowego przemysłu górniczego i hutniczego na posiedzenie, które... i t. p."

Rzecz prosta, że „w zwiększonej znacznie objętości" oczywiście się nie ukazał, ani jednostronnie ani drugostronnie naprowadzonym, ale najsłuszniej i najpiękniej wypiąwszy dumę na te bezmyślne orgje *serwilizmu* wyjechał, za co mu zawołam cześć, chwała i *ad multos annos!*

Przy zaistnieniu jednakże i zapanowaniu takiego żargonu administracyjnego, przy którem moje ongiś baroki wyglądają jak czysta staropolszczyzna Goworka lub Sieciecha, nie można się dziwić, że nie została w tyle i Akademja Naszych Nieśmiertelnych. Skoro bowiem tak oryginalnie i po europejsku redagowane były różne okólniki, wyraźnie i manifestacyjnie lekceważące kanony, a raczej zabobony także i gramatyczne, nie wypadało wprost powołanemu do życia przez Rząd Instytutowi rozmyślnie i niejako prowokacyjnie trzymać się dawnej formalistyki gramatycznej, składniowej i stylistycznej. Stąd też i nieprzeliczone od samego początku w orędziach najwyższego Aeropapagu za-

istniałe dowolności i oryginalności, które wsteczniki i reakcjonery pozwoliły sobie nazwać sztubackiemi bykami, bebykami i analfabebykami...

Ostatnio najbardziej efektownym był komunikat z występów gościnnych jednego z tych gentlemantlów w Rzymie, nie „w tej karczmie co Rzym się nazywa", ale w Rzymie autentycznym, o czem Patachonowi podyktowały Patałachy w ten deseń:

„Powierzono p. J. Kaden Ban. nawiązanie kontaktu z Królewską Akademją włoską w czasie pobytu w Rzymie podczas Kongresu Teatralnego... nad projektem zmian do prawa autorskiego..."

Normalnie biorąc (szablonowo) *bécque a bécque* na beku i bekiem pogania. Po staremu powinno być: „by podczas swego pobytu na kongresie teatralnym"...„nad projektem zmian w prawie"... Chcieli jednak, aby wyglądało nowocześniej i wystylizowali po esperancku, z punktu widzenia zastarzałej, zaśniedziałej gramatyki po desperancku. To też nic dziwnego dalej, że skoro tak daleko idzie w unowocześnieniu gwary swych komunikatów Akademja dożywotnio Nieśmiertelnych, taksamo pozwalają sobie inni piszący z tego departamentu czy obozu. Tak naprzykład Janina Schweinbreuner, w patentowanym podręczniku historji polskiej dla klas wyższych szkół powszechnych, zarzuca d w u k r o t n i e generałowi Hallerowi, że pod Kaniowem nie przeszedł... Dniestru, ponieważ po esperancku Dniepr nazywa sobie swobodnie Dniestrem.

Najznakomitszy krytyk i historyk literacki tej grupy na stronie 678 swego subwencjonowanego dzieła pisze:

„Orgiazm witalizmu futurystów odpowiada witalizmowi w filozofji i wkraczaniu psychologji w biologję. Ekspresjonizm i futuryzm w gloryfikacji biologicznego, psychicznego i socjalnego elementu witalnego poprzez podniesienie wszelkich objawów życia do jednakich walorów, poprzez niwelowanie ich dyferencyj spotyka się w nihiliźmie moralnym ze skrajnym materjalizmem i intelektualizmem... i t. p."

Próbek takiego bełkotu słownego i jazzbandu werbalnego moglibyśmy tu zwalić ze dwie tonny, względnie ze trzydzieści centnarów, ale tego nie czynimy, gdyż lada chwila wyjdzie taka antologja stylistycznyh popisów krytykafrów z obozu Analfabeocji północnej, południowej i popołudniowej, no i czytelnicy amatorzy nażywają się co się wlezie. Oburzać się tem niema czego i niema za co i szkoda czasu i hałasu. Wprost przeciwnie, nawet wiele, nawet wszystko przebaczyć im można, jeżeli się zważy i przypomni, że bądź co bądź z pośród nich wyszedł jednak i sam Ciompa. Może nagrzeszył obóz urzędowy w dziedzinie jak to mówią zachwaszczenia czy zanieczyszczenia językowego, ale jednak z pośrodka nich wyszedł właśnie Ciompa.

I jeżeli na jednej szali położy się wszystkie makaronizmy i galicyzmy i neonologizmy i jazzbandyzmy sanacyjskiej polszczyzny, a na drugiej jednego tylko jedynego Ciompę, to jednak co to ukrywać dłużej, Ciompa przeważy. Dla jednego tomu jednego Ciompy można przeboleć i całą produkcję i reprodukcję kilkuset polonistów i kilkuset Chwistków i okólniki wojewodów i orędzia ministrantów i komunikaty Akademji i całą naszą biedę i bigdę.

Istotnie, jest Ciompie na imię Adam. Tak jak było pierwszemu człowiekowi no i drugiemu: Mickiewiczowi. Adam Ciompa. Jak się można było domyśleć, także z pod Krakowa, a więc jak zawsze wcześniej czy później geniusz, tym razem wcześniej. Powieść wydał istotnie starozakonnik Mejzels, ale zato Wojciech, a więc do pewnego stopnia typowo krakowski *pendant* do poznańskiego Świętego Wojciecha. Nosi tytuł: „Duże Litery". Istotnie powieść zresztą krótka obraca się koło dwóch liter. Jedną z nich jest napewno *d*, drugą zdaje się i prawdopodobnie *p*. Ale choć Ciompa, Adam Ciompa jest zdaje się nauczycielem względnie suplentem i to postępowym, to jednak powieść może służyć za wzór pięknej i wytwornej polszczyzny. Dlatego się tu przeciwstawia rozpanoszeniu Esperantyzmu właśnie nie kogo innego, jak Ciompę, jak czystość i klarowność Adama Ciompy. I jeżeli tu przeczytaliśmy wzory i wzorki prozy, jaką być nie powinna, to jest poniekąd naszym obowiązkiem dać także próbę nowoczesnej a jednak, wykwintnej, może i erotykowatej, a jednak dyskretnej prozy pisarza, który wczoraj jeszcze mało znany, a od jutra już może *nomen magnum*: Adam Ciompa.

A oto fragment z Ciompy, w którym także zbliżamy się może do tej galicyjskiej „obwoluty" czy też koszulki, ale jakże dalecy jesteśmy od kartoteki z... okólnika z M. S. W.

„Obojętna nieprzejrzystość opadłego kraju spódniczki weszła między odsłonięte przelotnie założeniem nogi, wchodzące w różowe opięcie kombinacji pozakolanowe zgrubienia a me krótkie ściągnięcie w oczach. Nie długie utkwienie przymrużonych źrenic „hrabiego" w twych odsłoniętych aż poza kolana nogach obdzieliło je na chwilę przykrą mi wyłącznością ciała i dopiero objęcie wzrokiem całej ciebie, załamanej w dwa szeroko odwrotnie rozwarte kąty, włączyło je w jednolitą, odcieleśnioną miłość całości. Wysuwając i wciągając dolną wargę, z nachyloną ku przodowi głową, patrzałaś w koniec spiczasty bucika, który na końcu wyprostowanej przez siebie nogi zataczał niewielkie koła. Nieruchoma smukłość niegrubej łydki, oddzielonej cienką kostką kostką od wygięcia ruchliwej, niewielkiej stopy usamodzielniła się dla mnie w radosny urok niezwykłej w formie zgrabności".

Takim jest Ciompa Adam w swym stylu i w swym szyku.

(Dok. nast.) ADOLF NOWACZYŃSKI

P I A N I N O

W MAŁYM dworku z kolumienkami, w powiecie sokólskim, stoi stare pianino. Dziś jest już ono tylko zabytkiem pamiątkowym, szanownym, ale martwym sprzętem, do użytku niezdatnym.

Przechodziło różne koleje. Czasów jego świetności nie pamiętam z tej prostej przyczyny, że nie było mię wówczas na świecie. Zgórą pięćdziesią temu lat pianino zdobiło pewien salon warszawski — mieszkanie moich dziadków. Potem przewieziono je na wieś.

Zanim w roku 1920-tym bolszwicy powyrywali połowę strun i napełnili orzechowe pudło ośćmi spożytych ryb, — pianino było już mocno sfatygowane. Musiałam jednak od czasu do czasu brzdąkać na niem, żeby zrobić przyjemność dziadziowi. Napewno nikomu, poza dziadziem, te popisy nie sprawiłyby przyjemności... Grałam *„Ave*

Maria" Gounoda, jakąś parodję szopenowskiego nokturnu, jakiś jeszcze temat warjacyj, — słowem to wszystko, co mi pozostało w pamięci z dawnych czasów, z okresu moich wirtuozowskich aspiracyj...

Krzywiąc się, naciskałam skrzypiące pedały. Kręciłam nosem, gdy klawisze wydawały nieoczekiwane i zgoła niepożądane tony. Urywałam wpół taktu i mówiłam z rozpaczą:

— Ono jest niemożliwe, dziadziu!

A dziadzio odpowiadał niezmiennie:

— Wydaje ci się, duszko.

— Wcale mi się nie zdaje, dziadziu. To straszny gruchot! Połowa klawiszy nie odpowiada, a reszta!...

Wówczas przerywał mi tonem jednocześnie pełnym humoru i dumy:

— Na tym g r u c h o c i e, duszko, grał największy pianista świata — i nie narzekał.

Istotnie tak było. Tylko minęło wiele lat od czasu, gdy na dziadziowem pianinie grywał blady młodzieniec. Nad szafirowemi oczami, nad mądrem czołem wichrzyła się niesforna, bujna czupryna, niby olbrzymia, złocista chryzantema. Młody człowiek nazywał się Ignacy Jan Paderewski. Był uczniem warszawskiego Konserwatorjum. Bardzo zdolnym uczniem, ale i bardzo niezamożnym. Nie posiadał wówczas nawet własnego pianina. To też ćwiczył się, gdzie mógł — u znajomych, u przyjaciół, u krewnych, a więc i w domu dziadków moich powtarzał niestrudzenie trudne pasaże i palcówki.

Później, gdy Paderewski doszedł do szczytu sławy, gdy jego imię obiegło cały świat, — dziadzio lubił opowiadać historję skromnego pianina, nadmieniając, że malutką bodaj cząstkę swojej wspaniałej techniki zawdzięcza mistrz niezrównany staruszkowi z orzechowego drzewa!

Minęło jeszcze sporo lat. Dziadzio umarł. Pianino milczy miesiącami. Czasem, nocą jesienną, jakaś struna wyda cichy, przeciągły jęk. To myszy, cisnące się do domu z opustoszałych pól, harcują między młoteczkami...

Obecnie najczęstszym bodaj gościem w białym dworku jest sekwestrator. Człowiek ten niema nic wspólnego z poezją wspomnień. To też pewnego dnia opisał pianino bardzo niepoetycznie: w protokule zajęcia za jakieś zaległe podatki. Gdy nadszedł termin licytacji, sekwestrator zjawił się w towarzystwie sołtysa. Ani mowy, aby wszystkie posiadane w domu pieniądze pokryły chociaż połowę należności. Pianino musiało pójść „pod młotek"... Sekwestrator odwiózł je do miasteczka osobiście. — Na klekoczącym, chłopskim wózku szanowny sprzęt chwiał się rozpaczliwie i trzeszczał. Od czasu do czasu sfatygowane struny wydawały cichy, żałosny dźwięk. Może pianino chciało przypomnieć ludziom swą świetną przeszłość?

* * *

Kupiłam je na licytacji, podbijając cenę do sum zawrotnych. Trzysta sześćdziesiąt złotych! Nie było tyle warte nawet w oczach sekretarza magistrackiego. Niski, pękaty człowieczek miał aspiracje artystyczne: grywał polki, fokstroty i nawet — modne wówczas rumby. Zamierzał nabyć pianino, ale ostygł w zapale: przelicytowałam go o całe 5 złotych!

Gdyby wiedział... Gdyby wiedział, że na tem samem pianinie, na tem samiutkiem — grał kiedyś Ignacy Paderowski!

WANDA MIŁASZEWSKA

ALEKSANDER PUSZKIN

PROROK

Zgłodniały w duchu do utraty
Ducha,—poszedłem w puszczę ciemną;
Serafin po sześćkroć skrzydlaty
Wtenczas pokazał się przedemną.
Lekko, lżej niż widziadło we śnie,
Mych oczu dotknął bezcieleśnie:
Bystre się wtedy stały one
Jako orlicy wzrok spłoszonej.
Dzwonnym odgłosem moje uszy
Napełnił, gdy je palcem ruszył.

Odtąd, jak światło z nieba spływa,
Słyszę—i słyszę duchów przelot,
Słyszę ryb mowę pod topielą,
Słyszę jak łozę mróz okrywa.
Ust sięgnął chwytem rąk anielich
I wyszarpnąwszy z mej gardzieli
Język, skalany mową podłą,—
Mądrość wężową dał i żądło.
Potem pierś mieczem mi rozsiekał,
Serce precz wymiótł Seraf Boży
I węgiel gorejący włożył
W otwartą do dna pierś człowieka.

Leżałem,—trup niepogrzebany,—
Aż Pan odezwał się nad Pany:
„Powstań, proroku! Patrz i słuchaj:
„Będziesz narzędziem woli Bożej;
„Okrążaj ziemię, przepłyń morze,
„Słowem jak żagwią wzniecaj ducha!"

przełożył STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Historycy fachowi i niefachowi. — Wpływ i powodzenie tych ostatnich.— „Historja świata" H. G. Wellsa.— Jej zalety i braki. — Przekład J. Parandowskiego.

NIEMA, oczywiście, uczonego specjalisty, który odważyłby się napisać „Historję świata". Zadanie takie, w naukowy sposób podjęte, musiałoby być—rzecz prosta—dziełem zbiorowem. Ale nawet jeśli chodzi o drobniejsze fragmenty dziejów, czyż dla dobrego namalowania ich wizerunku wystarczyć może sama jedynie umiejętność fachowa, erudycja, metoda? Obraz przeszłości, jeśli nie ma być wyłącznie zgromadzeniem źródeł historycznych, jest zawsze — do pewnego stopnia—w i z j ą, sztuką czarnoksiężnika, wywołującego z mogił widma zmarłych, żeby raz jeszcze przed patrzącymi powtórzyły przeżyte niegdyś przez siebie chwile. Czyż nie konieczna jest do tego magja wyobraźni, intuicyjna zdolność widzenia, a więc poprostu, czyż nie konieczne są: przenikliwość myśliciela oraz talent pisarski artysty?

Tem też zapewne tłumaczy się wpływ i powodzenie, jakie w społeczeństwach zachodnioeuropejskich zdobyły sobie w ostatnich czasach książki historyczne, pisane nie przez zawodowców - uczonych, ale przez autorów takich, jak G. K. Chesterton („*A short history of England*"), publicysta J. Bainville („*Histoire de France*") i in. Niemały sukces w krajach cywilizacji anglo - saskiej osiągnął również znakomity powieściopisarz H. G. Wells swoją „Historją świata" (w dwu wersjach: obszerniejszej i skróconej), obejmującą czas od wytworzenia się układu słonecznego aż do wydarzeń politycznych doby ostatniej.

Wells jest niewątpliwie artystą dużej miary. W szeregu powieści swoich i nowel dowiódł niezbicie daru poetyckiego wniknięcia, wyjątkowo żywej imaginacji, zdolności przedstawienia charakterów ludzkich, odczuwania duchowej atmosfery. Tam, gdzie zbliża się do tematów, z któremi jest zżyty głębiej, karty „Historji" jego nabierają wyrazistości i siły suggestywnej, dmie z nich twórczy, orzeźwiający powiew talentu. Oto np. zakończenie rozdziału p. t. „Nauka Jezusa":

„Był to groźny moralny łowca, który ludzkość wypłasza z mateczników, gdzie dotychczas wygodnie siedziała... Czyż można się dziwić, że ludzie oszołomieni i oślepieni krzyczeli przeciw niemu? Nawet uczniowie krzyczeli, gdy ich parł w zbyt wielki blask. Czyż można się dziwić, że kapłani zrozumieli, iż między nim a nimi niema wyboru, że albo on zginie, albo całe kapłaństwo? Czyż można się dziwić, że żołnierze rzymscy, stanąwszy w osłupieniu wobec rzeczy, których nie rozumieli, a które zagrażały wszystkim zasadom ich życia, szukali ucieczki w dzikim śmiechu i założyli mu wieniec cierniowy i dali szatę z purpury, robiąc zeń Cezara na pośmiewisko? Albowiem kto go brał poważnie, ten jednocześnie wstępował w obręb dziwnie niespokojnego życia, musiał porzucić dotychczasowe zwyczaje, panować nad instynktami i popędami, próbować niewiarogodnego szczęścia..."

Naogół wszakże to duchowe zżycie się z przedmiotem nie cechuje „Historji" Wellsa, raczej przeciwnie, wydaje się ona zbiorem faktów, zgromadzonych naprędce, z encyklopedyj i podręczników, a często nawet podanych w formie nieprzetrawionej, w postaci pośpiesznie przepisanego cytatu. Tylko niekiedy te opisy zdarzeń historycznych okraszone są jakąś trafną, lub przynajmniej interesującą uwagą.

Ambicją Wellsa — widać to wyraźnie—było przedstawić „Historję świata" ze stanowiska ogólno-ludzkiego, na rolę własnego narodu usiłuje spoglądać zzewnątrz, jakgdyby nawet demonstracyjnie chwilami popisując się swym najdalej posuniętym objektywizmem. W rzeczywistości jednak jest on nietylko Anglikiem, ale, w dodatku, Anglikiem reprezentatywnym, typowym. Wystarczy spojrzeć na argumenty, jakiemi zwalcza np. celibat w Kościele katolickim, ażeby stwierdzić, że horyzont umysłowy pisarza, to—w gruncie rzeczy—tradycyjny, zaściankowy nawet pogląd na świat przeciętnego angielskiego protestanta.

„Ogólnoludzki" punkt widzenia sprawił, że nazbyt dużo stosunkowo uwagi poświęca Wells olbrzymim a krótkotrwałym tworom państwowym, jak np. monarchje: Aleksandra Wielkiego, Dżengis-Chana, Karola V — nie ukazując ciągłości rozwoju historycznego ludów, epizodycznie w skład tych przemijających zespołów włączanych. Ta błędna droga w poszukiwaniu jednolitego obrazu dziejów świata czyni z nich właśnie serję przypadkowych zupełnie zdarzeń, prowadząc nadto do zabawnych częstokroć dysproporcyj przy ocenianiu ich wartości i znaczenia. Tak np. kwestja gustów kulinarnych i zamiłowanie do uroczystości pogrzebowych u cesarza Karola V zajmują w „Historji" Wellsa więcej miejsca, snadź wydają się autorowi czemś donioślejszem znacznie dla dziejów ludzkości, aniżeli cały w nich tysiącletni wkład i udział—narodu polskiego.

Ale to nierozeznawanie dróg rozwoju historycznego w przeszłości ma swoją przyczynę głębszą: jest nią, mianowicie, wellsowskie pojęcie ideału, do którego ten rozwój winien prowadzić. Ideał ten tak oto zarysowuje się autorowi na ostatniej karcie jego księgi:

„Czyż możemy wątpić, że ludzkość urzeczywistni kiedyś nasze najśmielsze marzenia, że osiągnie jedność i s p o k ó j, czyż możemy wątpić, że plemię z naszej krwi żyć będzie na ś w i e c i e, b a r d z i e j w s p a n i a ł y m i b a r d z i e j r o z k o s z n y m, niż n a j w s p a n i a l s z y p a ł a c l u b n a j r o z k o s z n i e j s z y o g r ó d, jaki znamy, i wznosić się na coraz wyższe szczeble mocy w rosnącym kręgu dążeń i osiągniętych celów".

Trochę tu jakgdyby... raju Mahometa, trochę też... „nowego wspaniałego świata" Huxley'a. W istocie zaś—to powszechny dość na Zachodzie Europy ideał warstwy burżuazyjnej, wychowanej w pojęciach materjalistycznych, ideał komfortu i spokoju.

Bo tego świata i jego sposobu myślenia jest Wells w swojej „Historji" wyrazicielem. Bardzo znamienny jest pod tym względem jego opis wojny 1914—1918, gdzie ani męka ani bohaterstwo żołnierza nie zostały wogóle ukazane, a cały nacisk położył pisarz na te przykrości, jakich doznawał „spokojny obywatel" poza frontem:

„Tak eksponowane miasta, jak Londyn i Paryż, nie miały ani jednej nocy spokojnej: bomby pękały nad głowami ludzi, specjalne armaty do zestrzeliwania samolotów napełniały miasto nieznośnym grzechotem, straż pożarna i karetki pogotowia przelatywały po ciemnych i pustych ulicach. Wypadki te szczególnie ujemnie oddziaływały na umysł i zdrowie ludzi starszych i dzieci".

Mimowoli przypomina się ów francuski kupiec korzenny, który w r. 1917 pisał z Paryża do kuzyna swego, walczącego w pierwszej linji okopów pod Verdun: „...i podczas kiedy wy tam sie-

dzicie sobie bezpiecznie w transzejach, my tu, w stolicy, bez przestanku narażamy nasze życie, zdani na łaskę pierwszego lepszego Zeppelina..."

— — — — — — — — — — —

„Historja świata“ Wellsa (w tekście skróconym) ukazała się obecnie po polsku w wydawnictwie księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, w serji „Bibljoteka Wiedzy" (tom 14). Przekładu dokonał Jan Parandowski, stylem żywym, niekiedy nawet pięknym, korzystnie odróżniającym się od żargonu pp. Krzywickich, Wand Kragen i t. p. Niestety jednak, utalentowany pisarz nie zawsze rozumiał dokładnie, co tłumaczył. Tak więc czytamy (str. 286), że „Utopja" sir Tomasza More'a „wywarła swój wpływ na biedne prawodawstwo angielskie". W oryginale jest „*english poor law*“, co znaczy tylko: „prawo ubogich", „prawo o opiece społecznej", gdyby zaś Wells chciał to powiedzieć, co tu p. Parandowski wyczytał, musiałby wówczas wyrazić się inaczej, mianowicie: „*poor english law*". Ale wogóle nie było przecież żadnej potrzeby tak się litośnie nad „biednem prawodawstwem angielskiem" roztkliwiać...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

W CHWILI, gdy cała polska Łódź toczy walkę o narodowe oblicze nietylko miasta, ale i całej Polski, warszawski „Świat“ uważa za stosowne parę kolumn poświęcić tej innej Łodzi, wysuwając ją nawet na plan pierwszy. Na manifestacje ludności robotniczej polskiej odpowiada się kontrmanifestacją...

Przeczytajmy zamieszczone pod fotografją komisarza rządowego p. Wojewódzkiego jego słowa, a zrozumiemy wszystko:

„...Niewielka liczba ludzi zamożnych całkowicie rekompensuje kilkusettysięczną armję robotniczą, która nawet w t. zw. dobrych czasach w większej mierze potrzebuje opieki samorządu, aniżeli może świadczyć na rzecz tego samorządu. A gdy weźmiemy czasy obecne, czasy kilkuletniego kryzysu ekonomicznego, to musimy dojść do przekonania, że ten stosunek ilości świadczących do potrzebujących usług samorządu znakomicie się powiększył".

Już teraz wiemy, co „rekompensuje kilkusettysięczną armję robotniczą“, więcej nawet: co przeważa tu szalę. Dla całkowitego wyjaśnienia podajemy nazwiska osób, których podobizny zamieścił „Swiat“ pod wymownym nagłówkiem „Kapitanowie Łodzi“. A więc: Aleksander Heiman-Jarecki, prezes sp. akc. „Wola“, prezes zarządu Zw. Przem. Włók. w państwie polskiem, „jedna z najwybitniejszych indywidualności współczesnej przemysłowej Łodzi i konsekwentny szermierz haseł liberalizmu i zdrowych myśli ekonomicznych“ (!), gen. dr. Feliks Maciszewski, prezes Izby Handl.-Przem., dr. Juljusz Bornet, vice-prezes sp. akc. M. Silberstein i Piotrkowska Manufaktura, Naum Etingon, Maks Kon, Arnold Jan Lewin, K. T. Buhle, Oskar Kon (z t. zw. „patrjachalną brodą“), Władysław Lewicki, Edward Babiański, Juljusz Lewstein, prezes legjonu Berka Joselewicza, Karol Juljusz Buhle, Juljusz Abramowicz, Adolf Hage, Gumkowski, Józef Weissfeld, Józef Żurkowski, Jakób Kafeman.

Oto „kapitanowie polskiego Manchesteru"! Między trzema fotografjami, otwierającemi tę galerję (wojewody i komisarza rządowego), znajduje się i podobizna posła Józefa Wolczyńskiego z objaśnieniem: „dyr. znanych wielkich zakładów przemysłowych, Sp. Akc. I. K. Poznański, przewodniczący koła radnych BBWR, w radzie miejskiej m. Łodzi".

Już chyba teraz w całej pełni rozumiemy, dlaczego tenże poseł Wolczyński z zaparciem się siebie składał deklarację protestującą przeciwko uchwaleniu t. zw. „paragrafu aryjskiego".

I chyba również zupełnie rozumiemy pojęcie „elity" (od kapitanów wzwyż) i „szarego człowieka" (owe małoważące kilkuset-tysięczne armje...)

Jakże w tem świetle prawdziwie wyglądają słowa wojewody Hauke-Nowaka, który pod swoją fotografją napisał:

„...Ludność województwa łódzkiego, mimo ciężkich warunków życia, z wielką godnością znosi swój los codzienny, krzepiąc się wiarą w lepsze jutro, szukając sił w głębszych wartościach swej duszy i serca"...

Niema to jak słowa uznania od politycznego przeciwnika!

ROZLEPIONO NA MURACH STOLICY odezwę komitetu, złożonego ze sfer sanacyjnych, wzywającą mieszkańców do ukwiecania okien i balkonów. Jak każdy niemal występ „sanacji", tak i ten odznacza się efektowną blagą i całkowitym brakiem poczucia rzeczywistości. Odezwa głosi, że jak Rzym jest nazywany „miastem wiecznem", Paryż — „miastem świateł", Haga — „miastem tulipanów", tak Warszawa stanie się „miastem kwiatów". Uczyni to komitet wsparty o kilka towarzystw zawodowych i społecznych, oraz dobra wola właścicieli okien i balkonów.

Przed kilku laty ówczesny sprawozdawca „Myśli Narodowej" z dziedziny sztuk plastycznych, p. St. Pieńkowski niejednokrotnie sprawę ukwiecania domów warszawskich omawiał i wzywał różne towarzystwa, jak np. Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze i Towarzystwa Kobiece do rozwinięcia szerokiej w tym kierunku propagandy. Lecz jednocześnie wskazywał na istnienie trudności, których narazie żadna siła usunąć nie zdoła, mianowicie, między innemi, na przestarzałą konstrukcję okien warszawskich. Powtórzymy tu („swojemi słowami") główny jego wywód o oknach.

Szumna odezwa szumnego komitetu, podpisana przez szumne nazwiska i szumne stanowiska, pamięta o Rzymie i Krymie, ale całkiem nie zna Warszawy. W tej mocarstwowej stolicy dziewięćdziesiąt dziewięć na sto okien otwiera się nazewnątrz, ku ulicy, i już z tego jednego powodu okna te nie mogą być kwiatami i roślinami zdobione. Z pozostałego zaś jednego procentu okien, które otwierają się do środka mieszkań, dziewięćdziesiąt dziewięć na sto nie posiada kwietnic w murze, ani występów równych lub umocnień, na których można byłoby ustawić kwietnice lub bodaj donice. Tym sposobem tylko wyjątkowe okna mogą usłuchać wezwań szumnego komitetu, a i te istnieją przeważnie na krańcach, w nowo zabudowanych i zamożniejszych miasta dzielnicach. Nieliczne zaś balkony, gdyby je nawet przystosowano do hodowli kwiatów, nie uczynią „miasta kwiatów" z tego, (jak ulice Wspólne i Chmielne nazwali architekci), „miasta murowanych warjatów".

Nie mamy nic przeciw propagandzie ukwiecania domów, okien, balkonów, owszem — będziemy ją popierali, ale nie chcemy, żeby jakakolwiek propaganda traktowała obywateli miasta, jak ludzi naiwnych, którym można pleść duby smalone. Warszawa — „miastem kwiatów"! Ta stolica brzydoty i smutku, ciasnoty i brudu, pozbawiona opieki społecznej, zdrowotnej, praktycznej i estetycznej, stołeczne miasto gruźlicy i rachityzmu — naraz, za dotknięciem różdżki sanacyjnej prześciga Florencje wszelkie i Niceje! O, blago wyższa! Blago radosnej twórczości!...

POLSKA BIOGRAFJA NARODOWA

PRZEWLEKŁY spór między gronem lwowskich historyków z prof. S. Zakrzewskim na czele, którzy wystąpili w r. 1929 z inicjatywą wydania polskiego słownika biograficznego, obejmującego tylko czasy porozbiorowe, a historykami krakowskimi (prof. Wł. Konopczyńskim, S. Kotem i in.), którzy domagali się, aby polska biografja narodowa ogarnęła całe tysiącletnie nasze dzieje, został szczęśliwie rozcięty przez Polską Akademję Umiejętności.

Najwyższa nasza instytucja naukowa zdecydowała się poprzeć stanowisko krakowskich uczonych i podjęła wydawnictwo „Polskiego Słownika Biograficznego", obejmującego nietylko czasy niewoli, ale całość historji Polski ze szczególnem uwzględnieniem świetnych kart naszych przedrozbiorowych dziejów.

Dyskusje ustały, do dzieła zabrał się raźno powołany przez P. A. U. komitet redakcyjny z prof. Wł. Konopczyńskim, jako redaktorem głównym, na czele. W skład komitetu weszli m. in.: prof. R. Grodecki (Kraków), prof. O. Halecki (Warszawa), prof. S. Kot (Kraków), prof. M. Kukiel (Kraków), prof. W. Tokarz (Warszawa), dyr. A. Wojtkowski (Poznań) i in. Sekretarzem komitetu został młody historyk krakowski dr. Kaz. Lepszy. Nad całością czuwa wielogłowa Rada Słownika, złożona z prezesa P. A. U., delegatów towarzystw naukowych i członków, powołanych przez Zarząd Akademji.

Przyjęto system angielski, alfabetyczny, a nie holenderski od A — Z w każdym tomie; słownik zawierać będzie tylko życiorysy osób nieżyjących, które odegrały rolę w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem narodu polskiego.

Prace komitetu redakcyjnego posunęły się szybko naprzód. Zarejestrowano w kartotekach przeszło 60 000 nazwisk wybitniejszych Polaków, z czego wejdzie do słownika około 20.000 zwięzłych życiorysów z charakterystyką ludzi oraz podaniem bibljografji i źródeł.

Dziś leżą już na półkach księgarskich dwa wspaniałe zeszyty Polskiego Słownika Biograficznego, wydane na pięknym, bezdrzewnym papierze, po blisko 100 stron dwuszpaltowych, formatu 4-o liczące.

Otrzymaliśmy więc wreszcie tak potrzebne i cenne wydawnictwo, które dostarczy podręcznej informacji zarówno uczonym, jak szerokiemu ogółowi inteligencji, nadto wskaże czytelnikom drogę do sprawdzania, rozszerzania i pogłębiania zawartej w słowniku wiedzy.

Rażące zaniedbanie zostanie naprawione. Będziemy wreszcie mieli polską biografję narodową tak, jak ją już posiadają nietylko narody „wielkie": Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Rosjanie, Amerykanie, ale i „małe": Belgowie, Duńczycy, Holendrzy, Szwedzi, Słoweńcy i t. d.

Dwa pierwsze, starannie wydane zeszyty „P.S.B." zawierają wszystkie życiorysy na A oraz kilka biografij na B do Babiaczyka Adama. Przeczytaliśmy obydwa zeszyty jednym tchem, tyle w nich ciekawych faktów i wiadomości, podanych przez pierwszorzędnych znawców przedmiotu w sposób zwięzły i jasny. Niektóre życiorysy rozrosły się do rozmiarów małych, świetnych, monografij. Inne celują lapidarnością, jeszcze inne barwnym stylem, pozbawionym jednak cech gadulstwa: zgóry przepisane przez redakcję rozmiary życiorysów nie pozwalają na to.

A potem, co za bogactwo typów ludzkich, co za rozmaitość postaci historycznych! Przed czytelnikiem przesuwa się cały rój ludzi, którzy na przestrzeni tysiąca lat naszych dziejów odegrali wybitną rolę, bądź błogosławioną, bądź złowrogą.

Dowiadujemy się więc o świętym mnichu, Andrzeju Świeradzie, patronie Słowacji, który żył na przełomie X i XI w. i rozwijał działalność misyjną na Podkarpaciu w południowej Polsce i na górnych Węgrzech? W słowniku znajdziemy doskonały życiorys tego świętego, napisany przez prof. Wł. Semkowicza.

Poznajemy również żywot Adelajdy, siostry Mieszka I a żony Gejzy węgierskiego, zwanej „Białą kneginią", czytamy o uczniu i przyjacielu św. Wojciecha: Astryku-Anastazym, który wraz ze swym mistrzem nawracał Czechy, Polskę i Węgry na chrystjanizm.

A obok tych mało albo wcale nieznanych postaci, związanych z początkami naszego państwa, cały korowód wybitnych Polaków i Polek z wieku XII i następnych aż do niedawno zmarłych: Abramowskiego Edwarda i Adama Ernesta (doskonała charakterystyka pióra Zdz. Próchnickiego).

Życiorysy królów i książąt przeplatają się ciągle z życiorysami wynalazców, wodzów, pisarzy, księży, działaczy społecznych i politycznych, lekarzy, malarzy, profesorów, teologów, inżynierów, muzyków, wojskowych i t. p. Co krok czytelnik robi jakieś odkrycie, znajduje jakąś ciekawostkę i chętnie wraca do raz już przeczytanej biografji, wybierając z tłumu znakomitych Polaków tych, z którymi zżył się bliżej w czasie lektury.

Nie bez ciekawości przyjrzy się również czytelnik galerji wolnomularzy polskich, którzy znaleźli się w dwu pierwszych zeszytach „P. S. B." Jeden od drugiego ciemniejszy typ. Naprzód dwaj bracia Abramowicze. Ignacy (1793 — 1867), założyciel loży masońskiej „Szkoła Sokratesa" w Wilnie, zrazu dzielny oficer polski, brał udział w kampanjach napoleońskich, potem renegat, otoczony wzgardą, służył w armji rosyjskiej i znęcał się nad rodakami. Mikołaj (1788 — 1835) należał do wileńskich lóż masońskich, a w czasie procesu filareckiego wysługiwał się Nowosilcowowi, a potem gubernatorom wileńskim. Życiorysy Abramowiczów skreślił ze znawstwem prof. Henryk Mościcki. Trzeci mason, opisany w P. S. B., to Aloe (d'Aloy) Eljasz, współpracownik Ign. Potockiego, zakładał z nim Wielki Wschód Narodowy i był członkiem Najwyższej Kapituły aż po r. 1821. Protektorowi swemu miał się później odpłacić zdradą, informu-

ąc o poczynaniach Potockiego Bułhakowa. W czasie powstania Kościuszkowskiego należał do skrajnego skrzydła t. zw. jakobinów polskich. Podejrzewano go wówczas, że był ajentem Igelströma.

Jeszcze znaczniejszą postacią w polskiem wolnomularstwie był (zrazu sekretarz Andrzeja Mokronowskiego, od r. 1784 wielki mistrz Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego) — Aubert Józef, dyplomata. Wysłannik rządu francuskiego odrazu służył kilku panom. Był zaufanym Stanisława Augusta i Francji, a równocześnie utrzymywał kontakt ze Stackelbergiem i służył interesom Rosji. Po dymisji ze stanowiska sekretarza poselstwa francuskiego przeszedł odrazu do służby rosyjskiej i został radcą poselstwa rosyjskiego w Warszawie. Oddał duże usługi Sieversowi, donosząc mu o wszystkich krokach króla, prymasa, tropiąc jakobinów i t. p. Znakomite życiorysy d'Aloy i Auberta wyszły z pod pióra prof. W. Tokarza.

Z obszerniejszych życiorysów zasługują na uwagę następujące:

Ad. Asnyka przez prof. Ign. Chrzanowskiego, Anny Jagiellonki przez prof. W. Sobieskiego i dr. K. Lepszego, Andrzeja Łaskarza przez dr. K. Piotrowicza, Albrechta Hohenzollerna przez Stan. Bodniaka, Aleksandra Jagiellończyka przez prof. Fryd. Papée'go, Aleksandra I przez prof. Janusza Iwaszkiewicza, Augusta II Mocnego przez doc. Józefa Feldmana, Augusta III przez prof. Wład. Konopczyńskiego i in.

Nie wątpimy, że tak ciekawe wydawnictwo znajdzie szerokie rozpowszechnienie w myślących sferach polskiego społeczeństwa.

Prenumerata wynosi za 5 zeszytów rocznie — 25 zł. Zamawiać można „P. S. B." w Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków, ul. Składkowska 17 i w większych księgarniach (Gebethner i Wolff i in.). TAD. B.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI GOTYCKIEJ

(Wrażenia ogólne)

GDY warszawianin, w Wielkim Tygodniu, zwiedzając Groby w licznych kościołach stolicy, zajdzie w tym samym czasie do IPSu, na wystawę „Polskiej Sztuki Gotyckiej", ciągłość wrażeń i wzruszeń, jakich doznawał, nie ulegnie przerwie i nie zmieni kierunku. Bowiem uczucie, które nim tutaj zawładnie, przy oglądaniu wielu dzieł sztuki, zwłaszcza rzeźb, nie będzie tym razem natury wyłącznie estetycznej. Wszystkie dzieła, umieszczone na tej wystawie, są utworami sztuki religijnej w sensie formalnym, przynajmniej połowa—w rozumieniu daleko głębszem, gdyż z ducha, uczucia i wiary, a nietylko wiedzy swoich twórców poczęte.

Utwór plastyki, o wielkiej sile wyrazu, to nieczęsty gość na dzisiejszych wystawach, i jeśli tu jego siła tak często nas zniewala, przyczyna nie tkwi jedynie w fakcie, iż był on jedną z cech znamiennych epoki gotyku. Przeobrażenia pojęć estetycznych tej epoki niewątpliwie sprzyjały wzrostowi wyrazu w dziełach sztuki, zrywając z oficjalnością hieratycznego ukształtowania utworu plastyki, lecz w ten sposób zerwana została jedynie tama, a siła uczucia, która wtenczas ujawniła się w pełni, brała swoją moc z dusz twórców. Ona to sprawia, że doznajemy wobec tych dzieł niejednokrotnie wzruszeń daleko głębiej sięgających, niż te, któreśmy przeżyli w obliczu arcydzieł najbardziej słynnych mistrzów. Pozostając pod urokiem pierwszego wrażenia, narazie nieskorzy jesteśmy do pytań: jak to jest zrobione, jakie ma cechy stylowe, z którego roku, mniej wiecej, może pochodzić?

To też niech mi będzie wolno, na początek, podzielić się z czytelnikiem memi wrażeniami, oraz udzielić pewnych niezbędnych informacyj co do samego sposobu urządzenia wystawy. Wystawa obejmuje malowidła i rzeźby w drzewie, z okresu od 1320 do 1530 roku. Przeszło dwa stulecia! — szmat czasu; różnice między poszczególnemi dziełami wiek i geografja również tłumaczą: w jednej z rzeźb możemy się jeszcze dopatrzeć wpływów epoki romańskiej, inna już wkracza w renesans, tu wykrywamy wpływy niemieckie, tam — czeskie. Ale nie te różnice wydają mi się najistotniejsze. Różni te prace przedewszystkiem skala możliwości twórczych ich autorow. Tak jest, chociaż ten okres przekazał nam tyle dzieł anonimowych i zamykał sztukę artystów w granicach, daleko ściślej niż dziś, ustalonych kanonów. Jedną z Madonn i jedną z licznych postaci Matki Boskiej Bolesnej dzieli np. przestrzeń zaledwie 20 lat, a jakaż przepaść między temi rzeźbami! Matka Bolesna (Nr. 27) to dzieło prawdziwego natchnienia i doświadczonej dłoni, postać o geście pełnym wyrazu, gdy tymczasem tę drugą (Nr. 10) cechuje zupełna niezdarność. Ani wyrazu, ani umiejętności. Zachwyty nad tego rodzaju rzeczą są zwyczajnym snobizmem; naumyślnie o tem wspominam, bo i takich snobów spotkamy zapewne na wystawie. Ci, rozniecając fałszywy entuzjazm wokół utworów niegodnych uwagi, nie będą w stanie pojąć wartości dzieł, naprawdę wielkich.

Lekarze znają sposoby badania wrażliwości ludzkiej i prawdopodobnie posługują się jakąś naukową metodą, określając jej natężenie. Ja nie wiem, jaka jest rozpiętość tej skali, ale zato jestem pewien, iż niewiele osób zdoła przejść obojętnie obok grupy, wyobrażającej zapamiętałą w cichej boleści Matkę Bożą i Swiętego Jana, który ją podtrzymuje, fragmentu wielkiej kompozycji: „Pochodu na Golgotę". Wspomniałem już na początku, że przeżycia, których nam dostarczą niejednokrotnie dzieła rozmieszczone na tej wystawie, niezawsze będą natury wyłącznie estetycznej. Surowy klasyk współczesnej estetyki wystąpić tu może z pewnemi zastrzeżeniami. Powie zapewne: „szanuję pańskie wzruszenia, ale niechże pan rozważy, czy one są wynikiem czystej kontemplacji dzieła sztuki i czy skala tego wzruszenia jest naprawdę odpowiednikiem skali jego wartości plastycznych? Widzi pan tu matkę cierpiącą, której pan współczuje (humanitaryzm) dalej: głęboko są w panu zakorzenione tradycje kultury chrześcijańskiej i one zapewne, jeszcze wraz z pana religijnością (nie znam jej natężenia), czynią zeń podatny grunt dla tego rodzaju przeżyć. Pięknie,—ale mnie obchodzi inna kategorja przeżyć, wywołanych wartościami jedynie plastycznemi, bez żadnych domieszek".

Zapewne, ale czyż mam za każdym razem, wobec każdego doznania dzielić się na cząstki, zależnie od jego kategoryj. Nie kwapię się do wykrywania granic, gdzie kończy się we mnie artysta, a zaczyna chrześcijanin. Czyż nie jest to najwyższym przywilejem plastyki, iż może zbliżać nas

nietylko do sztuki, ale i do Boga? Czyż nie jest czystem szaleństwem myśleć inaczej? Czemże to zniewala nas wspomniane dzieło, czy jakiemiś sztuczkami? Pierwszy lepszy tępak tak rzeźby ukształtować nie potrafi.

Najczęstszym epitetem, w ustach dzisiejszego plastyka, są słowa: to smaczne, a tamto przyjemne. W owych czasach nie tworzono dzieł dla pustej igraszki smakowitości plastycznych. Dziś o pewnej gałęzi sztuki mówi się, że „użytkowa", bo z inną (obrazami) niewiadomo co robić. Wtenczas wszystko w sztuce było użytkowe: stołek dla ciała, obraz i rzeźba dla duszy. I dlatego artyści nie byli piątem kołem u wozu.

— — — — — — — — — — — —

Wystawa gotycka w IPSie gromadzi około dwustu prac, z zakresu rzeźby i malarstwa. Rozpoczyna ten zbiór „Chrystus Ukrzyżowany", z kościoła w Starogardzie (1320 r.), dzieło ziemi pomorskiej, — kończy wizerunek Sw. Trójcy (tempera), z kościoła Sw. Ducha w Sieradzu, obraz wykonany w początkach XVI wieku. Wielu dzieł na wystawę dostarczyły muzea: warszawskie, wielkopolskie, toruńskie, oraz liczne muzea djecezjalne i kościoły. Najpełniej zobrazowana została na wystawie sztuka zachodniej Małopolski, Wielkopolski i Ziemi Chełmińskiej.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

JUBILEUSZ SOLSKIEGO

WYSTĘP jubileuszowy Ludwika Solskiego w znakomitej — dziś historycznej — roli Judasza, w dramacie K. H. Rostworowskiego, już samą zapowiedzią wywołał rozgłos donośny.

Rozkołysały się dzwony uznania, a i tam-tamy reklamy tym razem podostrajały się jak mogły do wielkiego tonu. Rzadki brak dysharmonji poświadcza autentyczność zasługi.

Miałem szczęście (a wyrażenie to nie jest zbytnio przesadne tym razem) widzieć Solskiego w „Judaszu" przed dwudziestu laty. Dzieliłem w duchu obawy jego wielbicieli, czy nowe ćwierćwiecze nie zaciąży zanadto na barach takiego nawet Samsona scenicznego, jak on.

Obawy były złudne: osiemdziesięcioletni Solski grał trzydziestoletniego Judasza jak pierwszy raz, — kiedy to miał lat sześćdziesiąt w metryce, a pełną młodego ognia dojrzałość artystyczną w sobie.

Wrażenie najsilniejsze robiły,—jak dawniej, tak i dziś— te sceny, gdy Judasz gra — milcząc. Zarówno Rostworowski, jak Solski, rozumieją wymowę milczenia, jego rozdzierający, choć bezdźwięczny, krzyk.

Rostworowski wspaniale skoncentrował na Judaszu płomienny potok nauk Piotra apostoła i żarliwość próśb św. Jana, pragnącego rozgrzać serce Judasza, zastygłe w grzechu, już przechodzące w zatwardziałość zdrady. Judasz bez słowa i bez ruchu siedzi profilem do widzów przez kilka długich minut, nie czyniąc gestów wyraźnych, ani min, ale głównie postawą wyrażając opór.

Tkwi w tej pozornej bierności taka siła (wyrażona jedynie kontrastem wobec namowy), że najwścieklejsze bluźnierstwo byłoby czemś mizernem wobec tej milczącej grozy... Jest to jedyna może w literaturze dramatycznej ilustracja, jak wygląda grzeszenie przeciw Duchowi Świętemu. Solski prostotą swojej gry dotknął wówczas genjalności.

Mistrzowsko potem odegrał Solski scenę, gdy Judasz staje przed Kaifaszem i pada kopnięty w twarz. I znowu Solski zwycięża dzięki kontrastowi: — Kaifasz, tyrańska purchawka, świadoma swej zmurszałości i chcąca się opancerzyć butą, stanowi tło, z którego występuje ze zdwojoną plastyką — ból małego człowieka, rzecz prawdziwie wielka.

Iluż dobrych aktorów dałoby się uwieść pokusie przesady i t. zw. charakterystyczności w chwili, gdy zaprzaniec apostolski, ex-kramarz, stanąwszy przed Sanhedrynem, zaczyna mówić o swym sklepiku, sprzedanym na koszta apostolskie i o bankructwie swych nadziei. Judasza w tym momencie można zrobić zarówno matołkiem, jak demonem.

Wszelkie efekty aktorskie wpraszają się poprostu do użycia, zachwalając swą wyrazistość...

Solski odtrącił je nogą, jak arcykapłan tragicznego sprzedawczyka... Judasz Solskiego o swym sklepiku mówił z taką powagą, jak prokurator Judei mówiłby o swej prowincji do cezara, gdyby mu zdawał sprawę z rządów.

Judasz tak rozumiany wzbudzał współczucie... Bo cierpienie ludzkie, — nawet w upadku, zdradzie i podłości, — musi wzruszać — ludzi. Rostworowski odgadł, a Solski grą świetną udowodnił, że niema czynu, którby mógł zabić współczucie człowieka dla człowieka. A to znaczy, że b l i ź n i m i nie przestajemy być nigdy.

* * *

Przedstawienie stało na wysokim poziomie. Pod względem siły dramatycznej,—w wybornym naogół zespole,—prym trzymała p. Zofja Grabowska. Majstersztykiem zaś reżyserskim była scena kłótni Saduceuszów z Faryzeuszami.

Słabą stroną widowiska był tylko atak grupy pątników na żonę Judasza, zasłaniającą męża przed gniewem zawiedzionych wyznawców Mesjasza w koronie ziemskiej. Tłum zbuntowany poruszał się sprawnie, lecz miał zamało cech indywidualnych. Zdawało się, że to zbiorowisko zawodowych prowokatorów, a nie mieszanina ludzi różnego pokroju i rozwoju. Dlatego, gdy ten zbyt jednolicie rozjuszony tłum na krzyk Racheli nagle zawrócił wstecz, — widzowie mieli wrażenie niespodzianki, jakby, naprzykład, lokomotywa cofnęła się na ćwierkanie wróbla.

Patrząc na wznowienie tego znakomitego utworu, miałem do zarzucenia tylko jedno: mianowicie, że jest — w z n o w i e n i e m. Bo miejsce „Judasza" jest w repertuarze żelaznym, ale żelaznym n a p r a w d ę, czyli wykutym logicznie i celowo, a nie odlanym naprędce z sezonowych resztek.

Wyszedłem z teatru Polskiego z tłumem publiczności, nie czując jednak ani duchoty, ani ścisku, jakby tłum — po doznanych wzruszeniach — przestał być tłumem i stał się jakiemś bractwem, jakiemś ciałem zbiorowem, uduchowionem przez sztukę prawdziwą.

* * *

Ten nastrój jasny wsiąknął w mrok na u l i c y S ł o w a c k i e g o.

Wszyscy ją znają, ale nie wszyscy uświadamiają sobie, jak wygląda ta „arterja", sprzęgnięta z nazwiskiem wielkiego poety. Ma ona dwie strony: galową i powszednią. Strona galowa składa się z mydlarni, z teatru Polskiego i urzędu podatkowego. Stronę powszednią stanowi jeden front z dwoma tyłami kamienic.

Uliczka zwęża się w połówce w zaułeczek, tak podejrzanie malowniczy, że nie-warszawiacy miewają wątpliwości, czy on istotnie prowadzi do teatru, a nie do jakiegoś Mont-Martre'u warszawskiego, zwłaszcza, gdy na budynku czytało się o „rozkosznych dziewczynach".

Mniejsza zresztą o takie drobne nieporozumienia... Zato należy jak najprędzej usunąć nonsens wielki i nadać miano Słowackiego jakiejś ulicy — z prawdziwego zdarzenia. Jeśli Elektoralna (gdzie poeta mieszkał), została już — ze względu na rozmiary — zarezerwowana dla kogoś ze współczesnych, — to ofiaruj-że, stolico, Juljuszowi Słowackiemu przynajmniej ulicę K r e d y t o w ą.

Na to można sobie pozwolić nawet podczas kryzysu. Koszt prawie żaden: przybije się tabliczkę z „Kredytową" do teatru Polskiego i dysproporcja między Wawelem a zaułkiem przestanie być rażąca.

ST. M.

MUZYKA

TEATR WIELKI — „Afrykanka" opera Meyerbeera. — Mało sobie nawet kto zdaje sprawę, przyzwyczajony do zbyt zaciekle forsowanej legendy o dominowaniu żydów w muzyce, jak właśnie oni zaważyli w sposób zdecydowanie ujemny na obniżeniu smaku muzycznego, jak potrafili zaciężyć nad całemi nieraz okresami, tak, że nazwiska Rubinsteina, Meyerbeera i Mahlera są niemal synonimami ostatnich dziesiątków lat ubiegłego stulecia.

Do dzisiejszego dnia pokutują jeszcze, i to szczególnie w muzyce, poglądy i pojęcia, wytworzone skutkiem tej żydowskiej inwazji. Niektórym się zdaje, że dzieło prawdziwie wielkie należy identyfikować z jakąś ogromną machiną, zgromadzeniem niesłychanej ilości środków, patosem kroczącym koturnowo i — śmiesznie. Przykładem tego, swoistego zupełnie gatunku baroku jest wystawiona ostatnio w teatrze Wielkim „Afrykanka", sztuczydło pisane z mozołem przez dwadzieścia lat, przeładowane akcesorjami teatralnemi, koniecznie bogatemi, krzyczące swoją wystawą, które dzisiaj nikomu już nie imponuje.

To, że p. Korolewicz-Waydowa musiała kiedyś, przed laty występować w „Afrykance" jest zupełnie zrozumiałe. Było to przecież przed laty i obecna jubilatka nie decydowała o repertuarze. Dzisiaj rozumiemy dobrze sentyment zasłużonej kierowniczki Opery, mimo to szkoda, iż nie pozostał nadal w serdecznej skrytce; „wielkie dzieło" Meyerbeera nie pożyje długo na naszej scenie, tak jest słabo związane z nami i tak się okazało czemś typowo sezonowem. Mimowoli przychodzi na myśl repertuar zepchnięty kiedyś w kąt przez rozmaitego rodzaju „Afrykanki". Czyby nie należało go sobie przypomnieć?

Jubileuszowy spektakl wyreżyserowano z przepychem. Wypożyczono nawet wielbłądy z Ogrodu Zoologicznego...

Orkiestrę prowadził Adam Dołżycki. W rolach głównych wystąpiła W. Wermińska, Czaplicki, Wyszatycki oraz w roli Ines młoda artystka Borerowa. Debiut pozwolił skonstatować, że jest to zdecydowanie dobry nabytek. P. Borerowa posiada dobrze wyszkolony, ładny sopran. Czekamy dalszych występów, mocno bowiem okrojona rola Inesy nie była zbyt wielkiem polem do popisu.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. p. ANTONI GLUZIŃSKI

WDNIU 10 b. m. zmarł w Warszawie znakomity lekarz ś. p. Antoni Gluziński. Nazwisko jego oddawna znane było w całym kraju i bardzo cenione. Cieszył sią uznaniem jako powaga naukowa, wzięciem jako lekarz, poważaniem jako człowiek.

Trzy uniwersytety: zrazu Jagielloński, potem przez wiele lat lwowski, wreszcie po wojnie — warszawski korzystały z jego pracy i sławy. Był członkiem Akademji Umiejętności i wielu Towarzystw Naukowych w kraju i zagranicą.

Urodzony we Włocławku 1856, w Krakowie się kształcił. Od r. 1885 do 1897 wykładał w Krakowie patologję ógólną i doświadczalną. Potem, przeniósłszy się do Lwowa, objął tam katedrę i założył klinikę, na której pracował 22 lata. W r. 1905 był rektorem uniwersytetu. W Warszawie po wojnie zasłużył się uniwersytetowi przez postawienie kliniki na stopie europejskiej. Założył t. zw. Internistów: archiwum medycyny wewnętrznej.

Nie ustając w pracy pedagogicznej i naukowej oddawał się bardzo rozległej praktyce, słynął bowiem jako diagnosta. Na wszystko miał czas i siły. Podziwiano powszechnie, jaką w podeszłym wieku odznaczał się rzutkością i wytwałością w pracy. Mógł niemal do końca życia iść zawsze w zawody z młodymi. W ostatnich latach odbył szereg podróży z powodu zjazdów lekarzy słowiańskich, które sam organizował.

Ś. p. Antoni Gluziński pozostawił pokaźny dorobek blisko stu prac naukowych. Znaczną część jegó energji twórczej pochłonęły badania nad czynnością fizjologiczną i patologiczną przewodu pokarmowego. Zbadał zagadnienia, przez nikogo dotychczas nie poruszane, jak zależność stanu krwi od chorób żołądka, stworzył własną metodę wczesnego rozpoznawania raka żołądka, prace o rozpoznawaniu różnorodnych przyczyn zwężeń żołądka. Zajmował się chorobami narządu oddychania, koncentrując w wielu pracach naukowych swój wysiłek celem zwalczania gruźlicy. Choroby nerek również znajdowały się w zasięgu zainteresowań naukowych Zmarłego i Jemu to zawdzięcza medycyna zwrócenie uwagi na pewne odmiany mocznicy.

Niepożyte są zasługi ś. p. Gluzińskiego w dziele powołania do życia nowej organizacji — Związku lekarzy słowiańskich. Na Zjeździe lekarzy jugosłowiańskich w r. 1925 uznano za konieczne założenie wszechsłowiańskiego Związku lekarskiego i zorganizowanie na nowych zasadach I-go Zjazdu lekarzy słowiańskich. Powołany do tego komitet, do którego ze strony polskiej weszli prof. Gluziński, Dr. B. Jakimiak i doc. W. Łapiński, przyjął ostateczną redakcję statutu biorąc za podstawę projekt polski, oraz uchwalił, ażeby I-szy Zjazd lekarzy słowiańskich odbył się w Warszawie w r. 1927.

Prezesem Komitetu organizacyjnego Zjazdu został prof. Gluziński. Znaczenie propagandowe Zjazdu było wielkie. Rozwiały się różne uprzedzenia narodów pobratymczych do Polski, a uznanie dla tej ostatniej wyraziło się między innemi w wyborze prof. Gluzińskiego na honorowego prezesa wszechsłowiańskiego Związka lekarskiego.

Pogrzeb ś. p. Antoniego Gluzińskiego na cmentarzu Powązkowskim zgromadził koło trumny tłumy publiczności, wśród której najliczniej reprezentowany był świat medyczny i uniwersytecki. W szeregu mów podniesiono wielkie zasługi Zmarłego.

Społeczeństwo utraciło w ś. p. Antonim Gluzińskim niepospolitą jednostkę, zasłużoną dla kraju i powszechnie szanowaną z powodu prawości charakteru.

Cześć Jego pamięci!

NOWE KSIĄŻKI

Pigoń Stanisław Prof. Dramat dziejowy polsko-rosyjski w ujęciu Mickiewicza. Odczyt na zamknięcie II Międz. Zjazdu Slawistów w Krakowie 29.IX-1934. Kraków 1935. Odbitka z „Przeglądu Współcz.". S. 16.

Kisielewski Zygmunt. Dni listopadowe. Powieść. z 1918 r. Warsz. 1935. Dom K. P.

Olgierd Stella. Znaki. Powieść. Warsz. 1935. Dom K. P.

Olszakowski Junosza Aleks. Prawo do życia. Powieść. Warsz. 1935. Dom K. P.

Bystroń Jan St. Megalomanja narodowa. Warsz. 1935. „Rój". Str. 272.

Cole G. X. H. Istotny sens marksizmu. Warsz. 1935. „Rój". S. 293.

Wańkowicz Melchjor. Szczenięce lata. Wyd. II. Warsz. 1935. „Rój".

Wańkowicz Melchjor. Szpital w Cichiniczach. Opowiadanie. Wyd. II. Warsz. 1935. „Rój".

Gojawiczyńska Pola. Dziewczęta z Nowolipek. Pieśń. Warsz. 1935. „Rój".

Fay Bernard. Roosevelt i jego Ameryka. Warsz. 1935. „Rój".

France Anatol. Wspomnienia mego przyjaciela. (Przekład Gabriela Karskiego). Warsz. 1935. Mortkowicz.

W dzień Wielkiejnocy składamy wszystkim przyjaciołom i czytelnikom „MYŚLI NARODOWEJ“ serdeczne życzenia:

„WESOŁYCH ŚWIĄT“

PORACHUNKI

W NAJŚWIEŻSZYM zeszycie „Marchołta" (nr. 3), kwartalnika (wydawanego w Warszawie staraniem Instytutu literackiego pod redakcją prof. Stefana Kołaczkowskiego) znakomity pisarz Artur Górski zamieścił obszerny artykuł publicystyczny o charakterze programowym pt. „Porachunki".

Publicystyka polska zbyt mało poświęca uwagi grożącemu naszej cywilizacji niebezpieczeństwu, na które składa się sojusz socjalizmu z komunizmem pod kierownictwem żydów. Z uznaniem witamy każdy śmielszy objaw krytycyzmu w sferach literackich, w tę stronę zwrócony. Milczący w tej dobie polscy myśliciele stają się przez to milczenie, wspólnikami dokonywanego zamachu. A zamach uplanowany jest na wielką skalę!

Z rozprawy A. Górskiego wyjmujemy urywek, zachęcając do przeczytania całości:

Atak nowego komunizmu socjalistycznego na chrześcijaństwo i na tradycję kulturalną europejską i polską posiada jeszcze jedno znamię, które zwraca na siebie uwagę prawie intencjonalnie: ruchem kieruje inteligencja pochodzenia semickiego. Jest to zatem otwarte wyzwanie, tym razem bez spuszczania przyłbicy, trudno dłużej zamykać na to oczy. W czasach ostatnich agresywność semityzmu rośnie w tej dziedzinie. Ramię w ramię staje przy niej nowy objaw w naszem życiu: turanizm[1]). Jest u nas we zwyczaju lekce sobie ważyć te objawy, cóż dziwnego zatem, że zaczynamy być świadkami ciekawego procesu: inteligencja żydowska zamiast wchodzić w proces naszej psychiki, narzuca nam psychikę własną.

Naród żydowski jest narodem wielkim i potężnym, o psychice antycznej, która się zakonserwowała w ghetto. Ale jest to naród bankrutów, naród, który odrzuciwszy chrześcijaństwo, zdradził własny sens dziejowy i wyłączył się z procesu dziejów: i ta jego cecha, to fatum, leży u podstawy jego histerji psychicznej, której wyrazem było ghetto. Było ono usiłowaniem zamknięcia oczu na bieg dziejów świata, abstynencją zawziętą od pracy nad kulturą Europy, nad jej ideałem moralnym, nad rozwojem więzi narodowej ludów, wśród których mieszkali, — usiłowaniem, które przetrwało z dobrym skutkiem prawie osiemnaście wieków, a jak u nas, osiemnaście i pół. Potem począł się proces przechodzenia, przenikania w społeczeństwa europejskie, otwierania oczu, z równoczesnem porzucaniem dawnej bazy religijnej, a bez zajmowania nowej, niestety bowiem ocknęli się zapóźno, w okresie racjonalistycznym kultury europejskiej, wchodzili przeto w tę kulturę, ale nie przez bramę chrześcijaństwa, — a właśnie tylko ta droga mogła obudzić ich genjusz, który jest w gruncie rzeczy genjuszem religijnym, i oczyścić ich psychikę od starych wad, któremi obrośli, jak okręty oceaniczne obrastają skorupiakami i wszelakiem zielskiem morskiem po przebyciu długiej podróży. A oni są długo w drodze, przeszło trzy tysiące lat. Tymczasem stało się przeciwnie; wchodząc do kultury, zabierali tam z sobą cały resentyment ghetta do chrześcijaństwa, ową mistyczną nienawiść do krzyża, który obwinili o swe fatum. Nie tak to łatwo wyrzucić z duszy 18 wieków wychowania i usposobienia, dobyć z niej uraz psychiczny do świata, pokonać obcość własną w stosunku do nowej kultury, która w całej swej strukturze pozostała w głębi chrześcijańską, mimo rozdwojenia w świadomości; nie tak to łatwo dokonać tego, gdy dźwigni po temu zabrakło. Dlatego w każdym inteligencie żydowskim żyje i działa nadal fatum ghetta, miota się podświadoma histerja, owoc tego procesu, „gdy inaczej jest wewnątrz niż zewnątrz", jak mówi psychoterapja; to dusza jego antyczna, chrześcijaństwu ciągle wroga, rozpręża się w nim nadal *nolens et volens* w kierunku zaprzeczenia, ten świat pojęć, uczuć, symbolów cięży mu jako niedosięgalny i przeszkadza jego wyżyciu się, jego ambicji przewodniczenia, do której jako stara rasa rości prawo. Wszystko to razem przeszkadza mu tembardziej poznać i przeżyć kulturę, do której wszedł, choćby zdobył kilka doktoratów, — bo to nie taka łatwa sprawa, bo to wymaga przetworzenia duszy, odrodzenia, bo to woła o drogę pokory i wymaga czasu. Lepiej przeto zwalić tę przeszkodę, dać ujście starej namiętności ghetta, i na pustem polu nowatorstwa zasiąść w sanhedrynie zwycięstwa. Można to zrozumieć; wszakże to tylko wyjątkowe lotne duchy, duchy dobrej woli pośród Żydów, przebyć mogły tę wielką przestrzeń wieków na skrzydłach wichru mistycznego, indywidualności takie jak Mereżkowski, Maritain, Papini.

My jednak Żydów tego typu nie miewamy. Mamy zato, jak widzimy, kandydatów na polskich komisarzów bolszewickich. Z tej perspektywy sprawa przedstawia się bez idylli. Trzeba tej prawdzie spojrzeć prosto w oczy. Bo gdybyż to chodziło jedynie o sprawiedliwość społeczną, o najlepszy podział pracu i dóbr, — wtedy możnaby dojść z tą inteligencją żydowską do współdziałania. Ale ze wszystkiego wnosić wolno, że taki socjalizm nie miałby dla niej żadnej wartości, że sprawą główną, o którą jej chodzi, to przewrót kulturalny, obalenie chrześcijaństwa i starcie, zniwelowanie indywidualności narodowych. Dlatego jedność narodowa jest im „nonsensem", — ale jedność nienawiści aprobują. Dlatego cywilizacja chrześcijańska to dla nich „stek potwornych błazeństw"; bo czują w sobie siły do zejścia w przepaście duszy dla założenia królestwa czerezwyczajki, — ale do przebycia łańcucha niebotycznych Himalajów, świecących na horyzoncie duchowym tej to właśnie europejskiej, zatem chrześcijańskiej kultury, zabrakło im moralnej odwagi. Stąd ów program z przed osiemnastu wieków: chrześcijanie *ad leones*, albo do katakumb z powrotem.

Z tej strony — drogi w przyszłość polską niema.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Stoi przed nami wielkie zadanie, i musimy je rozwiązać po ludzku, w sercu. Po olbrzymiej próbie rosyjskiej, odbierającej wiarę w człowieka i życie, przyszedł czas wzięcia tej ogromnej sprawy w nasze ręce.

Naszą jest teraz rzeczą rozwiązanie zagadnienia: czego potrzeba, aby przy wolności mogła dopełnić się sprawiedliwość. Widzieliśmy, że trzeba na to pogłębienia idei o człowieku, poprostu odrodzenia jej. Ale idea taka zdobędzie siłę o tyle, o ile weźmie pod swe skrzydła wicher wielkich uczuć, wielkich pragnień piersi ludzkiej, wychodzących na spotkanie światów nowych.

Podołać temu może tylko organizacja narodu jako jednej rodziny.

[1]) Mam na myśli książkę Spasowskiego: „Człowiek wyzwolony", rzecz w duchu Bakunina i jego następców.

NA MARGINESIE

Poseł Car obiecuje „sanacji" tak zmajstrować ordynację wyborczą, aby w rezultacie wybory odbywały się bez wyborów.

Kombinatorstwo to przypomina zdarzenie z czasów panowania cara, kiedy to pewien komitet filantropijny w Warszawie wpadł na pomysł urządzenia „balu bez balu".

W odpowiedzi na zaproszenia obywatele nadsyłali komitetowi takie listy:

„Na bal bez balu rubla bez rubla przesyłam"...

Oby i tutaj tak nie było.



Nowa praca prof. R. RYBARSKIEGO

p. t. **NAUKA SKARBOWOŚCI**

(str. 400, duża ósemka)

Książka ta przeznaczona jest przedewszystkiem dla uczącej się młodzieży; może jednak oddać usługi wszystkim, którzy interesują się zagadnieniami finansowemi. Książka obejmuje całość nauki skarbowości, uwzględniając równomiernie wszystkie jej działy. Osobne części poświęcone są: budżetowi i prawu budżetowemu, wydatkom państwa, dochodom, ze szczególnem uwzględnieniem różnych systemów podatkowych, wreszcie długom państwowym i finansom samorządowym.

Cena księgarska 16 zł, 50 gr. Po nadesłaniu powyższej sumy administr. „Myśli Narodowej" wysyła książkę bezwłocznie.

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

ŚWIATOWA POLITYKA ŻYDOWSKA

Napisana przez
ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

jest niezmiernie cennem wydawnictwem

do nabycia w administracji
„MYŚLI NARODOWEJ"

Warszawa **Al. Jerozolimskie 17**

Cena 4 zł., z przesyłką pocztową **5 zł.**
Za zaliczeniem pocztowem **5 zł. 50 gr.**
Należność można wpłacać na konto czekowe P. K. O. „Myśli Narodowej" Nr. 3105.

WYSZŁA Z POD PRASY KSIĄŻKA

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

N O R W I D

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„MYŚLI NARODOWEJ"

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTO P.K.O. Nr. 3.105

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM